POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 18-go października 1941r.*** **Rok III. Nr. 42**

BŁĘDY CUDZE I WŁASNE

"NON LACRIMARE, NEC RIDERE—SED INTELLIGERE."

Jesteśmy bardzo wrażliwi na to, co o nas mówią. Zwłaszcza co mówią obcy. Ta wrażliwość nie jest naszą cnotą—źródłem jej bowiem przeważnie—próżność.

Jeśli o sobie nie słyszymy nic dobrego, pragniemy również pomniejszenia innych i rodzi się siostra próżności—obmowa. Jeśli zaś nas chwalą, wolimy ganić innych, aby uniknąć konkurencji.

Wobec podejrzanego pochodzenia naszej wrażliwości, zwanej często dla zatarcia śladów—dumą narodową lub poczuciem własnej godności, nie należy według niej regulować naszych sądów a tym mniej naszych czynów. Nie trzeba się zbyt cieszyć, gdy nas obcy chwalą, bo to często grzeczność, czasem koniunktura—i nie należy się gniewać, gdy nas ganią, gdyż wtedy właśnie nieraz mają słuszność.

Natomiast tak z pochwały jak i nagany trzeba korzystać. Trzeba je najpierw zrozumieć, kto i dlaczego chwali, czy gani, a potym wyciągnąć naukę dla swojego postępowania.

H. G. WELLS

W ostatnich tygodniach polska opinia polityczna była szczególnie poruszona dwoma głosami. Jednym z nich był artykuł "Timesa",* oddający Polskę pod opiekę Rosji, a drugi Wellsa uderzający w przeszłość.** Było by wielką naiwnością próbować polemiki z Wellsem. Pomijając niewspółmierność, jaka jest między polskimi publicystami, a światowej sławy pisarzem, pomijając dalej i to, że polski artykuł nie dotarłby do Wellsa, najważniejszą rzeczą jest, że Wells wcale nie chce wiedzieć prawdy ze strony polskiej.

Z wiadomości, jakie ma Wells o Polsce widać, że pochodzą one ze źródeł niemieckich lub rosyjskich—i one są dla niego miarodajne. Wobec tego, ci co posyłają mu jakieś memoriały, mapy i t.p.—spotykają się u niego tylko z pogardliwym lekceważeniem. Wątpię zresztą, czy nawet Anglik byłby w stanie zmienić poglądy Wellsa, jeśli je raz światu objawiono. Znakomity autor cierpi bowiem na chorobę zawodową zwaną "*morbus sacerdotalis.*"

Ksiądz, który głosi prawdy boże, słuchane z nabożeństwem, przyzwyczaja się do posłuchu nawet w sprawach nie boskich; sprzeciwów nie lubi nauczyciel, który uczniom objawia prawdy im nieznane,nabiera w stosunku do otoczenia również pozy nauczycielskiej; wielki pisarz nadęty powszechnym uznaniem staje się wieszczem, prorokiem. Dlatego Wells płynąc na fali rozgłosu i powodzenia—może tylko ogłaszać prawdę, ale prawdy posłuchać nie jest zdolny. Z tych powodów należy — porzucić wszelką nadzieję skutecznej polemiki z Wellsem.

Jednak wielu z naszych angielskich przyjaciół—może jego wywody powtórzyć. Nie można zaś wymagać, aby każdy znalazł ochotę i przygotowanie do zrozumienia tych zagadnień, jakie Wells porusza. Do nas należy, aby to naszym przyjaciołom angielskim ułatwić. Przytłaczająca ich ilość—ma dobrą wolę.

"NIENAWIŚĆ" DO ROSJI

Wells jest wielbicielem Rosji Sowieckiej.

Jest to zupełnie jasne, gdyż Rosji Sowieckiej zupełnie nie zna, a powtóre dzisiaj o Rosji Sowieckiej krytycznie mówić nie można, bo Rosja się bije.

Nie może znieść, że my "nienawidzimy" Rosji. A jednak ta "nienawiść" nie przeszkodziła porozumieniu polsko-sowieckiemu. Nie ma u nas nienawiści do nikogo, jest tylko walka z tymi, co nas nienawidzą, co nas chcą wytępić.

Wells nic nie wie o rozbiorach Polski, Wells wie tylko, że Rosja zabrała nam ziemie zamieszkałe przez "Rosjan i Litwinów." I nic więcej?

"Zapytaj mewy lecącej z Sybiru, ilu w kopalniach jęczy, a ilu wyrżnięto." Ale to brzmi zbyt romantycznie. Zapytaj Cripsa lecącego z Moskwy, jak żyły i jak wyglądają—dwa miliony Polaków wypędzonych ze swych siedzib, "zamieszkałych przez Rosjan i Litwinów." Lecz gdy tylko Rosja wolność tym rzeszom obiecała, już Polacy chcą z nią razem bić się przeciw wspólnemu wrogowi. Oto jest ta nienawiść polska.

I to nie polska szlachta stanowi te dwa miliony, to chłopi, którym Rosja "przyczyniła się do wytworzenia ludzkich praw w tych wyzwolonych Polakach należących do niższych warstw społecznych."

POLACY NAD MAPAMI

Siedzą Polacy nad mapami—to prawda, bo szukają tam miejsc, gdzie były ich miasta zburzone bombami, gdzie były ich wsie spalone i myślą o granicach takich, aby napaść ponowną utrudnić, abyśmy sami obronić się mogli bez narażania Anglii na wojnę, zanim Wells stworzy międzynarodową federację lotniczą, która zapobiegnie wojnom i będzie bronić świata. Zapewne są to małe miasta i małe wsie w stosunku do imperium, ale siedzą w nich ludzie od lat tysiąca i siedzieć chcą i tysiąc lat tych siedzib bronili i bronić będą.

Obrona własnej ziemi, obrona swego życia, swej wolności—oto idea narodowa Polski, która według Wellsa jest "wroga idei ogólnoludzkiej."

Czymże jest ta ogólnoludzka idea Wellsa? Oto odpowiedź Wellsa.

"Polska może zająć miejsce w przyszłości jak jakiś Teksas, Arizona, Floryda, czy New York" i "ludzie mogą sobie mówić, myśleć i pisać po polsku . . . bez względu na to, czy przebywają w Warszawie, czy w Chicago."

Niestety nie jest to to samo.

W New Yorku mogą nam nagle zabronić mówić po polsku, tak jak zabroniono pisać po polsku w Brazylii, a na własnej ziemi nikt nam tego nie zabroni. Dlatego mieć musimy swój własny niezależny kawał ziemi, który będzimy mogli obronić.

Dla Brytyjczyka może być wszystko jedno, czy mówi po angielsku w Indiach, czy w Australii, czy w Kanadzie, czy gdzieś na wyspach dalekich, bo to wszystko jest imperium i wszędzie jest u siebie, ale my mamy tę drobną część Europy i bez niej zginęlibyśmy wśród obcych, zależni od nich, czy nam mówić, pisać i myśleć po polsku pozwolą, czy nie.

WOJNA O POLSKĘ

Patriotyzm imperialny Wellsa nie pojmie idei narodowej Polaka.

Anglia weszła do wojny przez Polskę. Obecnie rzadko się to słyszy—tak widoczny jest bezsens tego twierdzenia. Już Chamberlain powiedział, że Polska nie była główną przyczyną tej wojny, lecz tylko ostatnią.

Nie byłoby wojny z Polską, gdybyśmy oddali Gdańsk i część Pomorza, a potem tak jak po Monachium trzeba by oddać resztę. Wtedy wojna Niemiec z Rosją rozpoczęłaby się w 1939 r. i nie trwałaby wiele dłużej niż wojna z Polską. A potem może jeszcze w roku 1939, a najpóźniej z początkiem 40 przyszłaby kolej na Francję i Anglię. A wtedy "strach pomyśleć co by było" —powiedział gen. Ironside.

Nie przez Polskę Anglia weszła w wojnę, lecz przez Niemcy—natomiast z powodu Polski Rosja miała czas jeszcze dwa lata przygotowywać się do wojny—a Anglia uchroniona została od uderzenia wcześniejszego o rok, a może i dwa.

Jedną tylko prawdę, prawdę gorzką powiedział nam Wells.

PODZIAŁ CZECHOSŁOWACJI

Wzięliśmy udział w "ograbieniu Czechosłowacji." Któż jednak dał początek? Monachium. Tam zaczęto ograbiać Czechosłowację, dając Hitlerowi część Czechosłowacji. Dzieliły inne państwa Czechy—dzieliliśmy i my.

Dwie jednak są różnice. To nie naród polski "ograbił Czechosłowację," lecz jego kierownicy. Naród polski zawsze to potępiał, natomiast społeczeństwo angielskie i francuskie godziło się na zabór Sudetów, nie tylko jego Rząd.

A druga różnica—to ta, że my "zagrabiliśmy" to, co było nam przedtem "zagrabione", natomiast Sudety były podarunkiem wyciętym z żywego ciała Czechosłowacji, podarunkiem dla wzmocnienia wroga.

JEDNOŚCIĄ SILNI

Nie gniewajmy się na Wellsa i na "Timesa" i na podobne głosy. Najskuteczniejszą odpowiedzią na to może być tylko potęgowanie naszych sił. Ograniczeni w siłach materialnych, potęgujmy siły duchowe. Najważniejszą siłą obecnie, jest nasza jedność, jak najbardziej skupiona, jak najbardziej wytężona, — nie osłabiona żadnym wewnętrznym rozbiciem. Tak jak nam tego przykład daje kraj.

O prawach narodu rozstrzyga bowiem nie liczba—lecz wartość tej liczby.

St. Sz.

* Por. w tej sprawie artykuł Michała Prozora: "Cenne ostrzeżenie" druk. w nr. 33 "Polski Walczącej."

** Por. listy Antoniego Słonimskiego i Antoniego Bogusławskiego z powodu Wells'a, druk. w nr. 40 i nr. 41 "Polski Walczącej."



rys. Artur Horowicz

"Na Morzu Śródziemnym i Bliskim Wschodzie, stwierdzam to z zadowoleniem, Polacy znajdują się obecnie w akcji zarówno przeciwko Niemcom jak i Włochom. Polskie jednostki wchodzą w skład floty śródziemnomorskiej, a brygada polska, mogę to już ujawnić, walczy ramię przy ramieniu z Waszymi wojskami w pustyni zachodniej.

"Jestem przekonany, że musimy być gotowi do inwazji Niemiec za pomocą wielkich sił pancernych, poprzedzonych bombowcami i musimy być gotowi do inwazji na kontynent już na wiosnę. Jestem gorącym zwolennikiem kontynentalnej armii ekspedycyjnej, nie sądzę jednak, aby taka armia mogła być zorganizowana na prędce i mogła wylądować bez dokładnych przygotowań.

"Robotnik brytyjski i tylko robotnik brytyjski może przeważyć szalę zwycięstwa w najbliższych trzech miesiącach. Nie możemy polegać na produkcji amerykańskiej w tym krytycznym okresie. To nasze samoloty, nasze tanki i nasze uzbrojenie musi płynąć do Rosji szerokim, nieprzerwanym strumieniem.

"My, żołnierze polscy, znamy powiedzenie: gdy deszcz na nas pada, pada i na nieprzyjaciela. Już pada na nieprzyjaciela, jak o tym mówią wiadomości o straszliwej walce na froncie wschodnim. Ale czy deszcz ten i na nas spada z dostateczną siłą? Kiedy i my weźmiemy pełny udział w walce?"

(Z wywiadu udzielonego przez gen. Wł. Sikorskiego G. Slocombe w "Sunday Express" z 12 bm.).

Neutrality Act

NASTROJE AMERYKAŃSKIE PO TAMTEJ WOJNIE

Neutrality Act—amerykańska ustawa o neutralności, o którą znowu idzie walka w Kongresie jest czkawką po ostatniej Wielkiej Wojnie. Wiadomo, że od razu po jej zakończeniu amerykańska opinia publiczna odstąpiła Woodrow Wilsona. Stany Zjednoczone ani nie podpisały traktatu Wersalskiego, ani nie weszły do Ligi Narodów. Powoli—nie bez wpływu propagandy niemieckiej, której to nastawienie było na rękę —w Stanach zaczęło się urabiać przekonanie, że wciągnięto je do wojny pod fałszywymi pretekstami, że szło istotnie jedynie o walkę imperializmów a nie o zwycięstwo demokracji, że biedni, uczciwi Amerykanie dali się paskudnie nabrać Europejczykom.

Nastroje te znacznie się wzmogły, gdy Francja a za nią i inne państwa przestały płacić długi wojenne. Żaden z Amerykanów nie uznał, że wina leży po stronie samej Ameryki. Że odgrodzenie się Stanów nieprzekraczalną barierą taryfy celnej *Smoot-Hawley* było jednym z głównych powodów katastrofy gospodarczej Europy, która nie mogła długów swych spłacać wywozem towarów. Że inicjatywa Hoovera, która doprowadziła do tego, iż Niemcom darowano spłaty reparacyjne uniemożliwiła państwom będącym dłużnikami Ameryki uiszczenie się z zobowiązań. Żaden Amerykanin nie uznawał słuszności tego związku między reparacjami, a długami wojennymi. W jego oczach sprawa wyglądała tak: myśmy pomogli sprzymierzonym nie tylko dostawami, ale i naszą krwią, a teraz oni nie chcą nam nawet zwrócić tego, cośmy im pożyczyli. Bezpośrednim skutkiem tego zaprzestania spłat był *Johnson Act*, ustawa zakazująca udzielania pożyczek państwom, które nie spłaciły długów wojennych.

Jednocześnie zaczęło się badanie, kto był winien temu, że biedną niewinną Amerykę wciągnięto do wojny, która ją nic nie obchodziła. Głównym winowajcą była oczywiście propaganda brytyjska, ale przecież ta propaganda musiała mieć sprzymierzeńców wewnątrz Stanów. Któż to był? Odpowiedź na to ostatnie zapytanie dała komisja senacka pod przewodnictwem senatora Nye /dziś jednego z wodzów izolacjonizmu/.

Komisja ta wykryła szereg rzeczy istotnie niezbyt pachnących. Woodrow Wilson był szczerym idealistą. Dla niego i dla jego najbliższych przyjaciół wejście Stanów do wojny miało istotnie znaczenie rozprawy demokracji walczących z absolutyzmem pruskim. Ale równolegle z Wilsonem Amerykę pchały do wojny i inne bardziej poziome interesy. Od pierwszej chwili dom bankowy Morgana oddał się był do rozporządzenia sprzymierzonych. Zakupy broni amerykańskiej, która była koniecznym warunkiem zwycięstwa były finansowane przez Morgana, który z kolei pożyczki francuskie i angielskie lokował na rynku amerykańskim. Część broni była zresztą wprost zakupiona na kredyt. Gdy w roku 1917 zwycięstwo Niemiec zdawało się bliskie, Morganowi i innym groziły miliardowe straty. Francja i Anglia pobite nie mogły by się bowiem nigdy wywiązać z zobowiązań. W interesie Wall Street leżało dopomóc koalicji do zwycięstwa. I—jak wykazały badania komisji senatora Nye—Wall Street nie przebierała w środkach, by Stany doprowadzić do wojny z Niemcami.

PRZED OBECNĄ WOJNĄ

To wyniki badań komisji Nye'a są istotnym początkiem *Neutrality Actu*. Gdy w roku 1937 zaczęły się zbierać chmury nad Europą, amerykańska opinia publiczna zaczęła żądać ustawodawstwa zabezpieczającego Stany od ponownego wciągnięcia ich w wojnę przez interesy prywatne, zaczęła żądać ustawodawstwa, gwarantującego, że w przyszłym konflikcie Stany będą jedynie widzem a nie aktorem. Tak powstała ustawa o neutralności.

Neutrality Act, między innymi, zabronił sprzedaży broni państwom wojującym /*Johnson Act* już gwarantował, że nie dostaną pieniędzy/; zabraniał statkom amerykańskim udawania się do strefy wojennej; zabraniał uzbrajania statków amerykańskich. Przez pierwszy zakaz zabezpieczał od stwarzania w Stanach koalicji interesów, związanych z jedną ze stron wojujących, ale nadto przez następne zakazy zabezpieczał od tego, ażeby nie powstała kwestia prestiżu, w związku z zatopieniem jakiegoś statku amerykańskiego przez wrogą flotę.

Dodajmy nawiasem, że te ostatnie dwa przepisy były zerwaniem z tradycją sięgającą czasów Waszyngtona. Dla Stanów wolność mórz, to jest swoboda pływania statków amerykańskich bez przeszkód podczas wojny—była zawsze dogmatem. O tę wolność walczyły z Anglią w roku 1812; o tę wolność o mało nie wypowiedziały wojny Anglii w roku 1914, a wypowiedziały Niemcom w roku 1917; o tę wolność walczył Wilson, układając pakt Ligi Narodów. Wyrzeczenie się tej zasady jest najlepszym dowodem, jak głęboko w roku 1937 sięgała niechęć Stanów do uwikłania się w jakikolwiek zbrojny konflikt europejski.

Franklin Roosevelt, człowiek patrzący w przyszłość i wiedzący, że przyszła wojna europejska nie będzie mogła być dla Stanów obojętna, bardzo niechętnie widział *Neutrality Act* i próbował go zwalczać. Gdy jednak spostrzegł się, że ma przeciw sobie prawie całą Amerykę, zrezygnował i akt podpisał.

USTAWA "CASH AND CARRY"

W chwili więc wybuchu wojny Ameryka była opancerzona przeciw jakiemukolwiek w niej udziałowi przepisami ustawy. Bardzo prędko jednak nastąpił w niej pierwszy wyłom. Roosevelt przeprowadził przez Kongres ustawę *Cash and Carry*, będącą poprawką do *Neutrality Actu*. Mocą tej ustawy zakaz sprzedawania broni państwom wojującym—zakaz, który w konflikcie chińsko-japońskim został przez Roosevelta ominięty w ten sposób, że nie ogłosił stanu wojny między tymi państwami—zmieniono w ten sposób, że dozwolono państwom wojującym kupować broń, ale jedynie za gotówkę i pod warunkiem, że kupujący zabiorą ją na własnych statkach.

Posunięcie było niezwykle zgrabne. Roosevelt tłumaczył, że cel ustawy będzie i tak osiągnięty. Dostawcy zapłaceni gotówką nie będą mieli żadnego powodu obawiania się o swoje kapitały, a więc żadnego interesu pchania do wojny. Wobec tego zaś, że transportować będą statki nieamerykańskie, odpadnie też i obawa konfliktu wywołanego przez zatopienie statku. Oczywiście z ustawy *cash and carry* korzystać mogły jedynie Francja i Anglia, one bowiem jedynie mogły transportować broń przez Atlantyk.

USTAWA "LEASE AND LEND"

Gdy fundusze brytyjskie się wyczerpały, gdy o dalszym kupowaniu za gotówkę mowy już być nie mogło przyszła nowa ustawa *Lease and Lend*. Znowu Roosevelt nie naruszył żadnego z tekstów. Akt Johnsona nie pozwalający na pożyczki *pieniężne* pozostał w mocy. Ale Anglia dostawać zaczęła broń nie wydając ani centa. Bo tę samą broń zaczęto jej pożyczać względnie wynajmować.

Jednocześnie Roosevelt zaczął walić w podstawy moralne *Neutrality Actu*. We wszystkich przemówieniach, od pierwszej chwili oświadczał, że Ameryka nie jest neutralna moralnie, że jest w obozie antyhitlerowskim. Później wyraźnie już zaczął mówić, że Wielka Brytania broni Stanów, że upadek jej oznaczać będzie nieuchronny napad Niemiec na Stany. Dalej posunął się do oświadczenia, że Stany nie dopuszczą do zwycięstwa Hitlera. Wreszcie przyszło słynne spotkanie z Churchillem i osiem punktów wiążących Stany ściśle z koalicją antyfaszystowską.

Neutrality Act jednak ciągle się trzymał. Roosevelt robiąc, co mógł zrobić sam, jako prezydent i naczelny wódz /oddanie W. Brytanii kontrtorpedowców, zajęcie Islandii, patrol atlantycki, rozkaz strzelania na Atlantyku do okrętów niemieckich/—wciąż wahał się żądać od Kongresu zmiany ustawodawczej. W Kongresie bowiem jest ciągle silna grupa izolacjonistyczna, jest zresztą grupa antyrooseveltowska, która chętnie by widziała konflikt między prezydentem a Kongresem. W Kongresie zawsze możliwy jest "filibuster," taktyka obstrukcyjna, przeciągająca debaty w nieskończoność.

NA DRODZE UCHYLENIA USTAWY O NEURALNOŚCI

Jeżeli więc Roosevelt żąda teraz od Kongresu zmiany *Neutrality Act*, to oznacza to przede wszystkim, że czuje się pewnym zwycięstwa. Oznacza jednak także, że niebezpieczeństwo jest tak groźne, iż już czekać dłużej nie można. Że trzeba wyraźnie z pozorem neutralności nawet ustawowo skończyć.

W liście do Kongresu Roosevelt stawia sprawę wyraźnie: —

"*Bądźmy logiczni. Nie chciałbym wrócić do tych dni, kiedy prywatni handlarze mogli igrać życiem i szczęściem Amerykanów dla prywatnego zysku i w ten sposób wplątać nasz kraj w jakiś incydent któryby nie obchodził Ameryki bezpośrednio* /jest to aluzja do komisji Nye'a/.

"*Ostateczny los zachodniej półkuli waży się na szali. Mówię Wam z najwyższą powagą, że jeżeli Hitlerowi uda się urzeczywistnić jego obecne plany, my Amerykanie, będziemy musieli walczyć w obronie naszych domów i naszej swobody w wojnie tak kosztownej i morderczej jak ta, która obecnie szaleje na froncie rosyjskim.*

"*Chcemy utrzymać politykę ochrony swobody mórz przeciw panowaniu jakiegokolwiek mocarstwa, które by dostało obłędu na punkcie ambicji panowania nad światem.*"

Roosevelt żąda chwilowo jedynie uzbrajania statków handlowych. Zniesienia zakazu udawania się ich do portów państw wojujących nie żąda oficjalnie, wyraża jedynie życzenie w tym względzie. Jest to zgodne z jego taktyką postępowania jedynie krok za krokiem, nie wywoływania w niewłaściwym momencie zbytecznych sporów.

Żądanie jest mało efektowne. Walka jednak o tę zmianę ustawy będzie jedną z walk rozstrzygających. Wskaże ona bowiem naocznie, jak dalece silne są jeszcze dziś w Stanach wpływy izolacjonistyczne, da Rooseveltowi wskazówkę, jak daleko będzie mógł pójść *dzisiaj*. Co do ostatecznego celu bowiem drogi Rooseveltowskiej i co do tego, że do celu tego dojdzie nie ma żadnych wątpliwości.

Czesław Poznański

Szkic sytuacyjny

SYTUACJA W ROSJI

Nad całością sytuacji dominuje sprawa Rosji. Z jednej strony jest to *zagadnienie frontu*, spoistości tego frontu i szans dalszego oporu—z drugiej, zagadnienie *pomocy dla Rosji*.

Nie wolno już dzisiaj ukrywać faktu, że front rosyjski *jest bardzo zagrożony*. Nie potrafimy wymierzyć rozmiarów porażek, zdolności armii sowieckiej do manewru i do dalszego działania. Faktem pozostaje, że armia sowiecka cofa się, a że tam gdzie się nie cofa, jest *sparaliżowana* w akcji /Odessa, Leningrad, Krym, zapewne i grupa Budiennego/ i że nie widać szans przeciw-uderzenia.

Armia sowiecka cofa się—*przez cały czas*. O ile w wojnie światowej była ona w *ofensywie* wiele razy, o ile okazała tam godną podziwu aktywność, ratując przez uderzenie na Prusy Wschodnie Francję a może i cały przebieg wojny—o tyle w tej wojnie *nie wykazała ducha ofensywy*. Jest to fakt niewątpliwy .

Pozostaje dalej faktem, że armia Timoszenki dowiodła największego hartu, a sam Timoszenko, uczeń Blomberga i Szapożnikowa, najwięcej talentu. I ta właśnie armia centrum, jedyna armia zdolna do manewru i przeciwnatarcia /Woroszyłow zamknięty jest w Leningradzie, Budienny poszedł w rozsypkę koło Krymu i Rostowa/, *ugina się* dzisiaj pod nowymi uderzeniami bezlitosnego młota niemieckiego.

Sytuacja w Rosji jest *groźna*.

ANGLIA ZDAJE SOBIE SPRAWĘ

Opinia angielska rozumie, że w Rosji jest źle, że front rosyjski może przestać istnieć. Oczywiście, możliwe jest prowadzenie wojny podjazdowej, akcji rozlicznych band pod osobnymi dowódcami, ale nie jest to wojna w nowoczesnej osnowie i sensie. Oczywiście, nastanie zimy zwolni tempo niemieckie, ale *nie zawiesi* walk.

Opinia angielska jest głęboko poruszona tym wszystkim. Odzywają się głosy i zapytania: czy zrobiliśmy *wszystko*, ażeby pomóc Rosji? Czy przez cztery miesiące wysililiśmy się na serio, ażeby wyprodukować sprzęt, ażeby przetrzeć drogę pomocy? Czy zabawa *w Iranie* nie trwała za długo? Czy nie należało jednak za wszelką cenę zrobić czegoś *na kontynencie*? Może *w Norwegii*, jako na przedpolu niejako akcji w Rosji? Czy nie należało zaniepokoić nieprzyjaciela u pobrzeży Norwegii czy Holandii?

Są to pytania, na które odpowiedzieć mogą tylko ci, co stoją blisko możliwości zbrojnych Anglii. Jeżeli dowództwo angielskie nie powzięło takich kroków to chyba dlatego, że wie, iż nie może sobie na to *pozwolić*.

ROZMIARY POMOCY.

Anglia udziela i udzielać będzie pomocy Rosji na największą skalę, ale oczywiście zagadnienie dostawy szlakiem północnym nie jest łatwe, a droga przez Kaukaz nie jest dostatecznie przetarta. Powstaje pytanie, czy moment szybkości zastał dostatecznie uwzględniony. Jest to sprawa w tej wojnie nieraz decydująca.

Pomoc dla Rosji jest napewno "szczodra," jak to powiedziała sama Moskwa,—pytanie tylko, czy przyjdzie na czas, czy zdąży na właściwe miejsce i na punkty najbardziej zagrożone. Co do tego nie posiadamy żadnych informacji ani żadnych wytycznych.

Tym bardziej narzuca się konieczność objęcia obrony Kaukazu przez wojska sprzymierzone, ażeby zwolnić maksimum sił sowieckich dla obrony okręgu Donbasu. Tym bardziej ważną się staje obrona mostu kaukaskiego, mostu doprawdy bezcennego.

CZY ATAK GDZIEINDZIEJ?

Zwolennicy akcji za wszelką cenę wołają, ażeby—skoro nastała już odpowiednia pora—ruszyć nareszcie zastój *libijski*, ażeby porzucić politykę czekania na Niemców. Zwolennicy akcji w Libii i wyczyszczenia Afryki wołają, że 800.000 żołnierza czeka w dolinie Nilu na akcję i że Niemcy oraz Włosi po drugiej stronie granicy egipskiej nie mogą mieć więcej, niż 300.000 żołnierza.

Nie wiemy, czy dane te są ścisłe, ale przypuszczalnie oddają one prawdę. Jeżeli tak jest, to akcja w Libii jest bardzo *wskazana*. Chyba, że dowództwo angielskie jest zdania, iż trzeba szanować te wojska jako rezerwoar na wypadek jakiejś akcji niemieckiej przeciwko Turcji. Jeżeli tak, to znowu skazani jesteśmy tutaj na oddanie głosu przeciwnikowi.

KRYTYCZNE DNI.

W chwili, gdy piszemy te słowa nadchodzi doniesienie o ewakuacji Brańska przez Rosjan i ewakuacji kobiet i dzieci z Moskwy. Nie wiemy, co będzie, gdy pojawią się te uwagi. Jest rzeczą jasną, że ofensywa ostatnia jest ofensywą *prestiżu*, że jest ona związana z prestiżem samego Hitlera i że armia niemiecka rzuca wszystkie swoje zasoby i siły. Traci, traci olbrzymie ilości maszyn, może i ludzi, ale fakt, iż traci maszyny nasuwa wniosek, że ma z czego tracić i że nie spodziewa się większego oporu na później, nie obawia się rezerw materiałowych sowieckich.

Niemcy nie walczą—jak sądzono o leża zimowe: jest to wzgląd raczej *drugorzędny*. Temat walki to *zniszczenie armii w polu*, to zniszczenie *żywej siły przeciwnika w polu*. Niemcy stosują tutaj zasadę Napoleona, że zniszczenie siły przeciwnika to istotny sens kampanii—*reszta sama się ułoży*.

Plan niemiecki jest dopiero dzisiaj jasny: od początku Rzesza dąży do zniszczenia siły rosyjskiej i nie dopuszcza do jej *odnowienia*. Dlatego dzisiaj nie bije się już w Woroszyłowa, dlatego nie zdobywa Leningradu za wszelką cenę, ale wali taranem w Timoszenkę, jako ostatni—według Niemców—ośrodek siły.

Hitler liczy na *kapitulację* Stalina. Jest to również co raz jaśniejsze. Czy uzyska ten sukces? Jeżeli nawet dopuścić tego rodzaju myśl—a przy braniu pod uwagę możliwości takich czy innych nie można nigdy nie brać pod uwagę *najgorszych*—to wątpić należy, czy regime, który poszedłby na kapitulację, na jakiś *super-Brześć, przeżył by długo*. Nawet we Francji kapitulacja pociągnęła upadek starego regime'u.

Kapitulacja Rosji byłaby oczywiście katastrofą pierwszej wielkości. Anglia, nauczona doświadczeniem, że trzeba liczyć się jednak z najgorszymi możliwościami, dopuszcza już w myśli, że najgorsze stać się może—ale *nie powinno*. Wierzymy, że nie powinno. Rosja nic nie zyskuje na kapitulacji.

Kreml przeżywa ciężkie dni. Musi wykazać hart regime'u. My zaś musimy wykazać hart wiary, musimy przeżyć jeszcze jedno trzęsienie ziemi w przekonaniu, że odpowiedzialność nasza rośnie i że następna runda wypadnie w *naszej okolicy*.

Londyn, 13 października 1941.

Zbigniew Grabowski

Działania Grupy Poleskiej

VI.*

Niebawem ruszyła druga faza natarcia, posuwając się sprawnie jak na placu ćwiczeń. Jakby zapomniano, iż ruch odbywa się pod zasięgiem obstrzału sprzężonych na jednym spuście kilku cekaemów. Temu posuwaniu się naszej piechoty towarzyszył pojedynek artyleryjski. Już później zabrany do niewoli słyszałem podziwu i zachwytu pełne wyrazy, wypowiadane przez oficerów niemieckich, pod adresem naszej lilipuciej artylerii, za jej pracę w akcji. Nade wszystko imponowała hitlerowskim artylerzystom skutecznie przeprowadzona przeciwbateria wykonana na ich własnej skórze. Bóg jeden wie jakimi środkami dokonano tego dzieła? Największe bowiem braki wykazywała w sprzęcie naszej artylerii optyka.

Niedługo też dało na siebie czekać żniwo, będące owocem tego braku. Z cmentarza poszedłem ku nacierającym baonom drugiej fazy. Nieopodal ode mnie wybuchł granat wystrzelony z naszej dziesiątki i jak często na wojnie szczęście odwraca całkowicie swoje oblicze, granat ten ranił szesnastu naszych piechurów z 182, pp. Przeważnie były to rany lekkie, jednemu natomiast podchorążemu oderwało podudzie. Zrozpaczony klął w żywe kamienie.

Kiedy zwróciłem mu uwagę, iż nikt nie uczynił tego rozmyślnie, zastanowił się, popatrzył na mnie bladym z upływu krwi obliczem i zakonkludował:

—“ Racja, nasi artylerzyści sprawują się tak dobrze! Będę myślał, że to podarek od niemieckiej artylerii.”

Wiele widziałem na wojnie, ale takiej determinacji i takiej zimnej krwi nie widziałem dotąd nigdy.

A dosłownie w tym samym czasie trafny strzał hitlerowców, owoc przypadku w tablicy rachunku prawdopodobieństwa, zmiótł całą bez wyjątku obsługę jednego z naszych dział w baterii dziesiątek, nie uszkadzając jednak działa. Jednemu z pośród obsługi młodemu podchorążemu odłamek granatu wyrwał kawałek pleców z częścią płuc. Dogorywającego złożono na wózku po amunicji, by więcej dla zwyczaju, niż z potrzeby odwieść go do szpitala polowego. Po drodze dzielny kanonier, przejeżdżał koło mp dowódcy w gajówce “ Ofiara.” Gdy ten ostatni pocieszał go nadzieją wyleczenia z tej rany, wykrztusił wraz z sączącą się z ust krwią:

—“ Ja tego nie przetrzymam i nie wyżyję, ale panie pułkowniku zwyciężyliśmy! ”

Nie starczyło by mi miejsca na przypomnienie najbardziej charakterystycznych nawet momentów z zachowania się naszych piechurów, których osobliwym—jak obserwowałem—sportem w natarciu na Wolę Gułowską było polowanie na cekaemy niemieckie. Nie darowali przy tym życia nikomu z obsługi, twierdząc na moje zamiary powtrzymania ich bezwzględności wobec przeciwnika, że nie wystarczy zniszczyć cekaem, trzeba skończyć również i z obsługą, by nie mogła być wyposażona innym sprzętem. Przyznać muszę uczciwie, iż nie oszczędzali oni nigdy przy tych wyczynach samych siebie, postępując wedle zasady, że nie umiera, kto się śmierci nie boi.

VII.

Powodzenie, jakie osiągnęliśmy w bitwie na południowym skrzydle nie było udziałem całości sił polskich. Na skrzydle północnym ustępowała 50. DP po wyjściu z Adamowa ku m. Krzywda i lasom dookoła tej miejscowości. Systematyczny napór hitlerowców, a nade wszystko morderczy ich ogień, rozstroił częściowo baony tej wielkiej jednostki i przełamał jej opór.

By zapobiec bezpośredniemu oddziaływaniu tej porażki na zwycięski atak 60. DP, rzucił gen. Kleeberg rano 5.X, pomiędzy oboma z różnym szczęściem walczącymi naszymi dywizjami piechoty, Suwalską Brygadę Kawalerii, która śmiałym natarciem ku wschodowi sparaliżowała w dużym stopniu nacisk Niemców, a ponosząc przy tym znaczne straty, dała możność 60. DP pomyślnie rozwinąć natarcie na Wolę Gułowską i południową flankę przeciwnika. Dywizja ta szła nieustannie na przód. W końcu walki przeniosły się w opłotki pierwszych chałup, a przeciwnatarcia niemieckie nie zmieniły niczego na rzeczy.

W międzyczasie Podlaska Brygada podjęła i wiodła bój samodzielnie. Popołudniu dnia 5 października położenie jej poczynało stawać się krytyczne. Walczyła w odosobnieniu dookoła m. Budy i była prawie otoczona, przy czym groziło jej odcięcie od całości sił Grupy Poleskiej. Równocześnie wywiady wysłane na zachód od m. Hordziszki, jakoteż na południowy-wschód od tej miejscowości, zostały napadnięte i zepchnięte przez świeżo wyłonione siły nieprzyjacielskie.

Tego rodzaju położenie groziło całości otoczeniem, a wszelki opór stawał się co raz bardziej beznadziejny. Moment ten uznał gen. Kleeberg za właściwy do powzięcia decyzji zaprzestania dalszej walki, a co zatem idzie do złożenia broni. Zegar wskazywał godzinę 17.00.

W nocy z 5/6. października załatwiono odpowiednie formalności i podpisano potrzebne dokumenty. Dokonanie samej czynności złożenia broni miało w dniu 6. dopełnić kielicha goryczy. Niemcy okazywali po bezpośrednim zetknięciu się prawdziwy szacunek żołnierzowi polskiemu. Dopytywali się również starannie o różne szczegóły taktyczne, w przypuszczeniu, iż mieli do czynienia z o wiele znaczniejszymi siłami. Taki respekt zdobył sobie żołnierz polski w trzydniowej walce pod Kockiem.

Dla zobrazowania całości przytoczę zdarzenie, jakie miało miejsce na odcinku 60. DP przy zdawaniu broni. Otóż dowódca 13 niemieckiej dywizji przybył na plac smutnej ceremonii, aby w uznaniu dzielności żołnierzy DP “ Kobryń ” wręczyć jej dowódcy płk. Adamowi Eplerowi i dowódcy piechoty dywizji prawo noszenia broni palnej w niewoli. Uznanie przeciwnika było zawsze jednym z prawdziwych laurów cnoty żołnierskiej.

Stąd częściowo na piechotę, a częściowo samochodami odstawiono żołnierzy do Dęblina. Naliczono ich ponad 10.000 głów, zapomniano jednak policzyć tych, którzy na wiadomość o zawieszeniu broni opuścili tłumnie szeregi i powrócili do osieroconych domów. Następny etap odbyto koleją do Radomia, gdzie w koszarach piechoty rozpoczęto podział i przeprowadzenie formalności związanych z uporządkowaniem przed wyjazdem do obozu jeńców w Niemczech.

VIII.

Działania kampanii jesiennej w Polsce—tego epizodu w wojnie 1939-19 . . . —przybrały obrót nieuchronny w danym układzie rzeczy. Znamienny zaś stał się fakt, iż naród polski śmiało podjął rzuconą mu rękawicę, stawił opór, a wojsko biło się, rozporządzając prawie minimalnymi możliwościami materialnymi, w warunkach beznadziejnych w znaczeniu strategicznym.

Jednym z fragmentów tych walk, są działania Grupy Poleskiej pod dowództwem gen. bryg. Franciszka Kleeberga. Nieprzewidziana żadnym planem pokojowym, jednostka ta powstała samorzutnie, a jest ona dzieckiem myśli i dążeń jej dowódcy. Sklecona w ogniu walki, słabo wyposażona w sprzęt, dobrana z ludzi, których skojarzył przypadek, była Grupa Poleska ożywiona jedną myślą: wypełnić zadania, jakie nakłada na żołnierza naród, strojąc go w zaszczytny mundur, w barwy wojskowe, dając mu do rąk znaki i godła najdostojniejsze, kiedy nazywa go swym najlepszym i ukochanym dzieckiem—było jedynym pragnieniem i dumą zarazem zastępów gen. Kleeberga. Dowodów takiego a nie innego stosunku narodu do żołnierza przytaczać tu nie potrzeba. Widać to w Polsce na każdym kroku.

Grupa Poleska została zrodzona i uformowana wtedy, gdy na zachodzie braciom naszym z rąk oręż prawie wypadł, a od wschodu stawała druga groza. Oddziały gen. Kleeberga odczuły to bezpośrednio. Grupa ściśnięta kleszczami, nie idzie za rozkazem marsz. Śmigłego Rydza po linii najmniejszego oporu za granicę, lecz na decyzję swego dowódcy, śpieszy połączyć wysiłki z walczącą i nie rozumiejącą ugody z wrogiem Warszawą.

Kroczącej po tej drodze Grupie Poleskiej podstępnie od tyłu zachodzi drogę przeważającą ilością swoich sił niemiecka 10-a armia. Nie uchylają się zastępy gen. Kleeberga przed natarciami niemieckich najeźdźców, panoszących się na ziemiach Polski i stawiają im czoło w bitwie pod Kockiem. Siły nasze zachowują przez cały czas jej trwania inicjatywę taktyczną, bez widoku co prawda już teraz na możliwość zsumowania swych wysiłków z kimkolwiek, są bowiem ostatnimi z walczących Polaków; okrążeni faktycznie, składają broń wobec p r z e m o c y p o ł o ż e n i a.

* * *

W ciągu działań, przekraczając mosty na Bugu we Włodawie, cztery wielkie jednostki Grupy Poleskiej wyłoniły się nagle, jak widmo przerażające złoczyńcę o nieczystym sumieniu. Właśnie zdołali pachołkowie Hitlera skończyć z oporem armii “ Kraków ” i “ Modlin ” w przestrzeni pomiędzy Sanem, Wisłą, Wieprzem i Bugiem, kiedy szeregi gen. Kleeberga we wzorowym ordynku, odgryzając się chmarom dywersantów ruskich i postępującym kolumnom armii sowieckiej—marszem niezakłóconym, a celowo pomyślanym, ciągnęły ku Wiśle.

Zmagania pod Kockiem stały się dla Niemców prawdziwą niespodzianką. Trzydniowe walki, mnogość strat, jakie Niemcy ponieśli, planowość ruchów elementów polskich na polu bitwy, solidność pracy naszej skromnej w liczbie artylerii, bojowa rezolutność piechoty, która nie bacząc na nic płonęła żądzą walki na bagnety—oto zaskoczenie jakiego doznali Niemcy na polach dookoła Kocką i pobliskich miejscowości.

Kampania jesienna w Polsce była po raz pierwszy praktycznie przeprowadzonym doświadczeniem “ Blitzkriegu.” W rozkładzie dnia i w planie rozwoju tej kampanii przewidywano ją na dni osiemnaście. Dnia szóstego miała być zajęta Warszawa. Powiadają nam o tym automatycznie w świat puszczane komunikaty, w czasie, kiedy na Woli zdołano zniszczyć kilka pojedyńczych czołgów, samotnie zabłąkanych do miasta. Głoszą o tym liczne wydawnictwa propagandowe, jak między innymi nie oglądający się na znamiona i stygmaty historycznych wydarzeń, szumnie z patetycznym przechwalstwem napisana książka pt.: “ *Der Feldzug der achtzehn Tage.*”

Jakżeż odmiennie przedstawiała się rzeczywistość. Osiemnastego dnia kampanii, który przypadał na dzień 18. września, był już przełamany co prawda związany i planowy opór sił polskich, opór który mógłby w jakimś późniejszym czasie dać możność dla przeciwuderzenia. Nade wszystko bitwa pod Kutnem była w punkcie szczytowym. Walczyły: Modlin, Gdynia, Hel, Grodno i Lwów, a nie przywiązane do miejsca zmagały się liczne zespolone i odprysłe od całości oddziały. Broniła się Warszawa, której zbrojny wysiłek nie może być lekceważony w żadnym razie nawet przez przeciwnika o skrajnie złej woli.

Stygmatycznym punktem, zamykającym ostatnie zdanie dramatu dziejowego, była bitwa pod Kockiem. Była ona wynikiem naturalnej, z woli stron obu powstałej, planowej akcji bojowej, zakrojonej przy tym na szeroką skalę. Kto zaś chce przekreślić te momenty, grzeszy świadomie złą wolą, lub tępą ignorancją. Tymi przymiotami nacechowane postępowanie nie doprowadzi nigdy do jakiegokolwiek wyniku.

Żołnierz polski nie ma tych przywar na sumieniu. Dalsze dzieje oręża w wojnie z Niemcami w latach 1939-19 . . . mówią o tym złotymi zgłoskami historii.

Tadeusz Śmigielski

* Por. nr. 40 i 41 “ Polski Walczącej.” W nr. 41 znajduje się szkic obrazujący ostatnie działanie Grupy Poleskiej. Należy w niej poprawić podziałkę na: 1:300.000.

Niniejszy odcinek zamyka ten pierwszy, jak dotąd, zarys działań Grupy gen. Kleeberga.

Spóźniony konwój

(Opowiadanie bosmanmata A.S.)

Spotkania trzech naszych kontrtorpedowców w pierwszych dniach wojny na wodach angielskich z niemieckimi okrętami podwodnymi znakomicie pokrzepiły ducha załogi. Komunikaty radiowe z pola walki w Polsce dolewały oliwy do ognia. Każdy rwał się do czynu i marzył o sukcesach, by uszczuplając potęgę morską wroga tu zdala od Ojczyzny, ranić go boleśnie i może być owym języczkiem u wagi ostatecznego zwycięstwa.

Nikt też się nie zmartwił, gdy nie odsapnąwszy nawet, dwa nasze kontrtorpedowce wyruszyły uganiać się za okrętami podwodnymi, a my zostaliśmy wyznaczeni do prowadzenia konwoju z materiałem wojennym dla Polski, który tam miał dotrzeć okrężną drogą.

Przed wyruszeniem dowódca podał załodze do wiadomości cel naszego wyjścia, podkreślił jak ważne jest uzupełnianie materiału wojennego dla naszego zmagającego się z wrogiem wojska oraz wezwał nas do wytężenia wszystkich sił, by konwój doprowadzić bezpiecznie, gdyż niechybnie szlaki komunikacyjne roją się od niemieckich okrętów podwodnych.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, poprowadziliśmy wyjątkowo szybko konwój na południe. Pogoda dopisywała nam znakomicie, a z każdym dniem stawało się co raz cieplej, co pozwala na zdejmowanie co raz to innej części wełnianej garderoby, którą musieliśmy nosić w kapryśnym, a zimnym klimacie północnego Atlantyku i Kanału Angielskiego.

Pustka na oceanie była wprost przytłaczająca. Nigdzie sylwetki, żagla, czy chociażby słupa dymu. Mimo woli nasuwało się pytanie, na jak długo zniknęła z powierzchni oceanów bezpieczna żegluga, pojedyńczo kursujące trampy, czy też pieszczące oko żeglarza białoskrzydłe żaglowce.

Niestety nie dane nam było doprowadzić nasz konwój z cennym ładunkiem do miejsca przeznaczenia. Po pięciu bowiem dniach żeglugi przyszła radiowa wiadomość, że granica Polski jest zamknięta. Nie pozostawało nic innego, jak wprowadzić konwój do najbliższego portu angielskiego i przekazać go odnośnym władzom. Przestaliśmy tu cały tydzień, zmartwieni tym pierwszym niepowodzeniem.

W powrotną drogę wyszliśmy z dużym konwojem, prowadzonym przez angielski krążownik i kilka kontrtorpedowców, ale po dwóch dniach odłączyliśmy i samodzielnie udaliśmy się do miejsca naszego czasowego postoju.

Pogoda tym razem nam nie sprzyjała. Wiatr wył w takielunku jakąś opętańczą melodię, a nasz kontrtorpedowiec wyprawiał niesamowite skoki na rozszalałej oceanicznej fali. Przelotna dżdża i mała widoczność uzupełniały całość ponurą i złowieszczą.

Stałem właśnie na sterze, gdy przyniesiono na pomost wiadomość radiową o kapitulacji Warszawy. Pozostało jeszcze co prawda w Polsce kilka ognisk z Helem na czele, stawiających opór przemocy, ale upadek ich był tylko kwestią czasu. Wojna w Polsce została przegrana. Ojczyznę naszą czeka jeszcze jeden rozbiór, jeszcze jeden ciężki okres niewoli i poniewierki. Na myśl o tym serce mi się ścisnęło, a spazm chwycił za gardło. Przestałem rozróżniać podziałkę róży kompasowej i o kilkanaście stopni zjechałem z kursu. Pierwszy raz jako dorosły mężczyzna popłakałem się jak bóbr.

Gdy zeszedłem z wachty do pomieszczenia, zastałem mych kolegów ponurych i złych. Wydawało mi się, że wycie wichru zgodnie wtóruje przekleństwom, którymi sypano jak z rękawa. Nie było tu zresztą rozpaczy, tylko zaciętość, chęć zemsty i trwania w walce póki sił starczy.

Wojna w Polsce przegrana, a armia jej rozbita—to prawda, ale na naszych okrętach dumnie powiewa polska bandera, symbol niepodległości i suwerenności Państwa Polskiego. Flota polska utrzymała naszą Ojczyznę w nieprzerwanej wojnie z odwiecznym wrogiem.

Jerzy Szulak

ZA PRAWO DO WOLNOŚCI

Gdy wyjdę na pokład i zadrę głowę do góry,
Gdy widzę dział przeciwlotniczych kontury,
A nad nimi miliony gwiazd w ciemności,
Gdy pomyślę o ich wielkości i odległości,
O miliardach ziem takich, jak nasza,
Gdy potem pomyślę o wojnie,
To wszystko tak mnie przestrasza,
Czuję się tak niespokojnie,
Tak nikłe stają się sprawy ziemskie,
Nieważne, bez wartości,
Że czuję zawrót głowy i mdłości,
I zgodzę się nawet na klęskę
I na porażkę w wojnie,
Bo i tak nic się nie zmieni,
Tak samo dostojnie, spokojnie
Będą się obracały w przestrzeni
Dalekich światów miliony.
Czy ważne jest coś we wszechświecie
Skończonym, czy nieskończnonym?
To takie głupie przecież . . .

—A ja, gdy wyjdę na pokład i
zadrę w niebo głowę,
Gdy widzę w górze karabiny maszynowe,
A nad nimi miliony gwiazd w ciemności,
Gdy pomyślę, że ja też jestem tego częścią,
Choć niewielką, o małej wartości,
Z niedoskonałą głową i pięścią,
Lecz już trochę myśleć umiem.
Umiem mieć już uczucia,
Coś niecoś już rozumiem,
Mam pół-uczucia, nad-uczucia i przeczucia,
że ktoś przecież i o mnie pamiętał,
Ktoś mierzył myśli, ważył czyny,
że stworzył mnie wyższym nad zwierzęta,
Że stworzył mnie wyższym nad rośliny,
Gdy widzę gwiazd tysiące, miliony, miliardy,
Gdy na wspaniały wszechświat
spoglądam w zachwycie,

Co raz bardziej się czuję nieugięty, twardy
I co raz bliższy Tego, który dał mi życie.
A jeśli będę ginął krwawo, czy nie-krwawo
Z myślami nad rodziną i bliską Warszawą,
Jeśli na ustach uśmiech będę miał spokojny,
To nie z bohaterstwa, ani też nie z męstwa—
Będę wiedział, że ginę właśnie za to prawo.

I dlatego chcę wojny
I czekam zwycięstwa.

Józef Miłobędzki

PRZEKLĘTA ZIEMIA

Reportaż o życiu i pracy lotników polskich na Złotym Wybrzeżu



Jeden z naszych lotników w stroju tropikalnym

Muzyka grała walca. Na gładkiej, lśniącej posadzce sali płynęły miękko, posuwiście, zasłuchane w melodię pary. S t r a u s s . . . Chwieją się w półobrotach białe kornety sióstr, odcinają od ich bieli szaro-niebieskie mundury R.A.F. Pod ścianami na fotelach i leżakach siedzą chorzy i ranni. Wsparte o poręcze stoją nieruchomo wyciągnięte drewniane kule, krzyczą w półcieniu sali białością bandaże. Ci co mogą jeszcze tańczyć, tańczą. A z pod ścian patrzą ściemniałe, błyszczące gorączką oczy, przewijają się ściszone szepty i uśmiechy. Gdzieniegdzie wybucha nagle ostry, nerwowy śmiech i gaśnie przytłumiony dźwiękami muzyki i gwarem rozmów:—Jak dobrze, że jeszcze można żyć?! Grają Straussa. . .

Przeszliśmy do baru. Nas siedmiu:—dwu Polaków, jeden Anglik, dwu Australijczyków, jeden Hindus i Francuz. Międzynarodowy zespół R.A.F. Usiedliśmy przy niskim, okrągłym, czarnym barowym stoliku w fotelach z giętych rur stalowych—takich, jakie były w pokoju śniadankowym kasyna w Poznaniu. Przez przymknięte drzwi przebijały zduszone, matowe dźwięki walca. "Café Club," "Esplanade," a może Wiedeń? Zatrzymały się w próżni, znieruchomiałe spojrzenia. Na czarnej, błyszczącej powierzchni stołu wykwitły blade sylwetki szkieł. Ciszę przerwał Anglik:

— Pierwszy raz w historii R.A.F. siedmiu ludzi siedzi w barze przy stoliku i pije . . . lemoniadę!

Odpowiadają smutne, zaprawione sarkazmem uśmiechy. I znów zasiada przy nas na chwilę wojna.

— *Never mind,* rzuca ktoś wesoło,

— *Never mind,* wrócimy jeszcze do eskadr, to jeszcze nie koniec.

Przy barze przystojny młody porucznik bez ręki, śmieje się wesołym śmiechem dziecka.

Umilkły dźwięki muzyki. Otwarły się drzwi baru i buchnął przez nie zmieszany gwar głosów wychodzących z sali. Wieczorek dobiegał końca.

Szczękają odstawiane puste szklanki. Odsuwają się krzesła.

— *Good night,*—mówią Polacy,

— *Dobra nots,* — odpowiadają międzynarodowi koledzy R.A.F.

. . . Grano nam dziś wieczór Straussa. . .

* * *

Na przestronnej, pustej werandzie wypełnionej, słońcem wyciągnięci, półsiedząc, półleżąc. Gwarzymy—on i ja.

Centralne Sanatorium Rekonwalescentów R.A.F., gdzieś na wybrzeżu Anglii, zapadłe w morzu zieleni drzew i traw, ukryte wśród czerwonych urwisk skał, wrzynających się pionowo w modre, zielonkawe wody. Późny wrzesień, a na rozrzuconych poniżej trawnikach migają barwne sylwetki grających w golfa. Rażą oczy ostrością kolorów świeżo rozkwitłe klomby. Fruwają motyle i brzęczą roje pszczół. Nawet noce są bezwietrzne i ciepłe.

Ma dziś oczy zmęczone, pożółkłe, podsiniałe ciemnymi łukami malarii. Miał nowy atak. Chude, przeźroczyste palce drają nerwowo na ciemnej powierzchni koca. Ściągnięta, stężała twarz wyciąga się chciwie ku słońcu, które igra błyskami na srebrnych pasmach skroni.

. . . Droga trwała cały miesiąc—zaczął—tak, cały miesiąc. Noce gorące i parne, noce bezwietrzne, noce szkwałów i burz, noce zimne, wietrzne, gdy morze stawało dęba, a ziąb przeszywał do szpiku kości, owijał mroźnym, sztywnym ramieniem i gniótł, gniótł. . . Aż tchu piersiom brakło, aż członki stawały się sztywne i nieczułe.

A morze rzucało. Przewracało krzesła w kabinie, zmiatato z łóżek. Huczało wściekłe strzelając w niebo bryzgami piany, biło złe, natarczywe o boki okrętu, zalewało wodą pokłady. Powrót. . .

Szliśmy konwojem. Kilkadziesiąt statków i ochrona—brytyjskie kontrtorpedowce, krążownik. Na wysokości wybrzeży kontynentu zawitał pierwszy zwiastun wojny, Dornier. Zatoczył wysoko koło, obejrzał, i objęty białymi obłoczkami wybuchów—odszedł. A potem przyszły Heinkle. . . . Zagrały basem działa statków i okrętów osłony, rozszczekały się jazgotem ciężkie karabiny maszynowe. Zaświstały cienko, bomby—trysnęły w górę wysokie, białe słupy wody. Gdzieś wzbił się w niebo krzyk. Tonął statek.

Wystrzelił z katapulty Hurricane i ostrą spiralą nabierał wysokości. Po chwili był na tle błękitu nieba, jak mała, ciemna plamka na horyzoncie, jak nikły owad zawisły w powietrzu. Naraz wszyscy na statkach zamarli i stała się jedna wielka cisza. Zgubiona w błękicie plamka oderwała się od podstawy nieba i zaczęła spływać w kierunku białej sylwetki Heinkla. —Atakuje . . .—rzucił ktoś z boku. —Atakuje . . .—



Przyjaźń polsko-murzyńska

odpowiedziały łomotem serca. Wył na pełnym gazie silnik nurkującej maszyny, w jednostajny jego dźwięk wdarł się nagle stukot ósemki kaemów. Białą sylwetkę Heinkla otoczyły płomienie. Pochylił się Heinkel na skrzydło, skręcił i korkociągiem poszedł w dół, znacząc smugą czarnego dymu, ostatnią swoją drogę. Podniosły się grzywy pian, zafalowało morze. Nikt nie wyskoczył. . . .

Z zamkniętym podwoziem "wodował" na morzu Hurricane; pilota wyciągnięto na statek, samolot zatonął. W dali na horyzoncie wlokąc za sobą wąską strużkę dymu, uchodził na pełnej szybkości z pola walki—drugi Heinkel.

W nocy atakowały nas łodzie podwodne. Morze było wzburzone i tylko księżyc rozświetlał noc. Noc jakich wiele na Atlantyku. Około północy zbudził nas głuchy huk wybuchów torped i ciężkie, zdławione eksplozje bomb głębinowych rzucanych z okrętów osłony. Powietrze rozdarł głos syren—alarm. Wszyscy na pokład—na stanowiska obserwacyjne, nawet lekarze i księża.

Na spienionym morzu widać tylko jasne grzywy pian i bryzgów, peryskopu dojrzeć niepodobna. Strzelają w niebo wielobarwne pociski oświetlające, robi się jasno jak w dzień. Tam w prawo tonie statek, już widać tylko pomost . . . już tylko topy masztów. . . Trafiony w sam środek torpedą, zatonął w ciągu 45 sekund. Drugi na końcu konwoju płonie żółtym, czerwonawym światłem. Płonie pięć godzin.

Palą się i inne statki. Strzelają w górę raz po raz gejzery ognia i słupy dymu, znowu tonie jakiś statek. Piekielna noc. . .

Na ratunek tonącym rzucają się korwety i lżejsze kontrtorpedowce. Konwój płynący "zygzakami" zwiększa szybkość i częstotliwość zmian kursów. Płyniemy w świetle pożarów, rakiet i błysków. Gdzieś w dali za nami, prowadzą swą rozmowę z łodziami podwodnymi okręty osłony, grzmiąc niskim, głębokim basem wybuchów. Światła pożarów powoli gasną. Tak zastaje nas świt. Rano podano nam morsem, że okręty osłony zatopiły kilka łodzi podwodnych.

I znów szły dni, jedne podobne do drugich. I znów przewalało się pod nami lub nad nami morze. Aż jednej nocy przyszło zimno, chwyciło w swe mroźne, wilgotne okowy nas, płynących z pod równika—i zostało. W jedna z takich nocy wyszedłem na pokład otulony szczelnie ciepłym kocem. Na mostkach i w przejściach hulał wiatr, gwiżdżąc żałośnie na linach masztów i burtach. Stałem wpatrzony w tę ciemność i tę noc, gdy z prawej strony, z mroku, powoli zaczęła się wyłaniać jasność. Z każdym obrotem śruby statku, z każdym węzłem, zbliżał się, rósł blask. Aż objął całą prawą stronę i rozjarzył się tysiącem, milionem świateł. Witała nas Irlandia. Na lewo tonął w czerni wygaszony brzeg angielski. WOJNA. . .

Chory na chwilę przerwał, oddychał ciężko. Zmęczone oczy przykryły powieki, pogłębiły się cienie zsiniałych obwódek. Ręce wyciągnęły się nieruchomo, przez twarz przebiegały skurcze. I drgał tak w słońcu białością bezkrwistej skóry wyczerpany, bezwładny, wypełniony apatią i rezygnacją do dna. On, rok temu zdrowy i silny. . .

A z trawników dobiegał gwar i śmiechy grających. Perliły się na klombach tęczą barw kwiaty. Na oknie usiadł motyl.

. . . Złote Wybrzeże—zaczął mówić—grób białego człowieka. Tam też są nasi, lotnicy, gdzie ich dziś wojna nie rzuciła? Złote Wybrzeże. . . Czy pan porucznik wie, że do niedawna umierało tam 80% białych? Że na wybrzeżu rozsiane są całe kolonie cmentarzy? Równych, podobnych, wielkich?! Dziś już jest lepiej, dużo lepiej, medycyna robi postępy, ale i tak przeciętny czasokres pobytu wynosi tylko półtora roku. A potem, ot, pan widzi!

Złote Wybrzeże, Ziemia przeklęta. . . Słońce stoi nisko, prawie nad głową. Wielkie, białe, palące. W ciągu dnia upał, w nocy parno i duszno. Wilgotno! Wilgoć wisi jak mgła, jak zły sen, ciężka, niewidoczna. Wdziera się wszędzie, przenika wszystko. I niszczy, rozkłada, nasyca pożywką gnilną, jak trupa. Pościel po nocy mokra, buty postawione pod łóżkiem—do rana pokrywają się śliską, siwą pleśnią. Ubrania, książki, papiery, przybory — wszystko, wszystko przesiąknięte jest zapachem stęchlizny i wilgoci. Rzeczy trzymamy w specjalnych szafach ogrzewanych żarówkami węglowymi, ale to nie pomaga.

O szóstej rano świt, około szóstej wieczór już mrok. Noc trwa dwanaście godzin. Upiorna noc na równiku. Z zachodem słońca wylatują z ukrycia malaryczne moskity przedzierając się przez najmniejsze szparki "moskitiery," przez najmniejszą niedokładność ubioru i tną boleśnie, dokuczliwie. Zdala od światła, pod stołami, w kątach, czekają na człowieka, by wlać do krwi dar podzwrotnikowej nocy—m a l a r i ę! W porze deszczowej są ich całe chmury. Wąskie oczka "mostkitiery" tamują zmęczonym płucom dopływ powietrza. W nasiąkłej wilgocią nocy pod siatką ochronną, wyciągnięte na łóżku nagie ciało pokrywa się co chwila gęstymi kroplami potu.

A noc śpiewa swą pieśń. Grają tysiącami głosów miliardy wielkich, podzwrotnikowych świerszczy, przeraźliwym, przeszywającym głosem, głusząc ciszę i spędając sen z powiek. Wypełzają na werandę w poszukiwaniu żeru jadowite, afrykańskie skorpiony. I męczy się człowiek i skręca, nie znaleźć oddechu dla płuc, a dla siebie spokoju.

Gdzieś nad Zatoką Gwinejską, pod samym prawie równikiem, na południowym brzegu leży lotnisko. Gładka jak stół, asfaltowa szosa prowadzi do lotniska. Zresztą innych tu nie używają, cały kraj połączony jest siecią dróg o nowoczesnej nawierzchni. Lotnisko pokryte bujną, zieloną trawą, przez środek przebiega szeroki, asfaltowy pas startowy z kierunku północ—południe. Innych wiatrów nie ma, w ciągu dnia wieje "bryza" z morza na ląd, w nocy "morka" na morze. To wszystko.

Na tej odległej, odciętej od świata placówce, zatopionej w morzu dżungli Złotego Wybrzeża, pracuje zespół personelu polskiego. Pracuje ciężko, tak jak pracować potrafią Polacy. Pracuje samotnie.



Przyjaźń polsko-murzyńska

Każdy list jest sensacją, każda gazeta, książka polska — wydarzeniem. Nie każdy zaś statek dopływa. . .

Wczesny ranek, świt. Uciekła noc nagle, szybko, tak jak zapada w tym kraju mrok i na horyzoncie ukazała się wielka, biała tarcza słońca. Dziś mamy święto pierwszy, całkowicie polski konwój—tylko jeden obserwator-radio Anglik, dla ułatwienia porozumienia w razie wypadku. Cały personel Stacji zgromadzony na lotnisku. Właśnie wystartowały maszyny, zatoczyły nad morzem szeroki łuk, przeszły nisko nad lotniskiem, zawróciły i znikły w jasności poranka. Poszły na długi, niebezpieczny lot. 4.000 mil nad morzem, dżunglą, sawanną i pustynią, 4.000 mil nad Nieznanem!

Łączność tylko przez radio, prowadzi "*Operation*", choć trasa jest niezmienna i zawsze ta sama. Wszystkie maszyny mają biało malowane ogony i stateczniki, by w razie przymusowego lądowania lub wypadku, poszukujący samolot łatwiej mógł je znaleźć. Załogi wyekwipowane w żywność i wodę na trzy dni, płachty rozpoznawcze i małe, wklęsłe lusterka do sygnalizacji. Często jednak i to nie pomaga. Nieraz idąca w pomoc wyprawa, znajduje już tylko szczątki samolotu i wybielone słońcem, objedzone przez termity—kości załogi!

Czasem zdarzają się nadzwyczajne wypadki. Pewnego razu pięć maszyn konwoju zmuszonych zostało do lądowania w dżungli, na skutek niezwykle gwałtownej burzy i zepsucia radia. Przypadkiem natrafiono na koryto wyschniętej rzeki, gdzie trzy maszyny szczęśliwie usiadły, a dwie rozbito—załogi wyszły cało.

I wówczas wydarzyła im się ciekawa przygoda. Wezwany dźwiękami "tam-tamów" nadjechał miejscowy kacyk murzyński. Obejrzał rozbite i nieuszkodzone maszyny, przyjrzał się załogom i podjeżdżając bliżej podał na wyciągniętej, otwartej dłoni—cztery ziemne orzeszki prosząc w łamanej angielszczyźnie, by któryś z nich wybrał jeden orzeszek i zjadł. Wystąpił dowódca konwoju, zawahał się chwilę, wziął jeden i podniósł do ust.

Radość odbiła się na twarzy kacyka, zsiadł z konia i podszedł mówiąc, iż dzień ten jest najszczęśliwszym dniem jego życia i całe królestwo swoje oddaje na usługi gości. Zaciekawiony takim obrotem sprawy jeden z członków załogi zapytał go, co miały znaczyć podane im do wyboru orzeszki

—Każdy z czterech orzeszków,—odrzekł kacyk—miał swoje specjalne znaczenie. Tyś wybrał pierwszy,—mówił zwracając się do dowódcy—to znaczy żeś mój przyjaciel i brat. Gdybyś wybrał drugi—znaczyło by żeś człowiek obcy, pomocy potrzebujący. Gdybyś wziął trzeci—toś przyjaciel nieszczery i serca niewiernego. A jeślibyś zjadł czwarty—toś wróg i zdrajca, którego chwycić i zabić trzeba!

Długo biły w noc "tam-tamy," aż głuchy dźwięk ich podawany od wioski do wioski przebiegł dżunglę i doszedł nad brzegi Zatoki Gwinejskiej. Dotarł do Stacji.

Przylecieli mechanicy, nadeszła pomoc i benzyna. Przez dwa tygodnie 200 murzynów wycinało dżunglę, szykując pas startowy dla maszyn. Przez dwa tygodnie załogi były gościem miejscowego kacyka i szczepu.

Aż któregoś ranka zagrały w dżungli motory, rozśpiewały się poświstem śmigła, potoczyły się, poderwały trzy samoloty i znikły z oczu czarnego kacyka i jego czarnego szczepu. Pozostały tylko dwa pokryte pleśnią i rdzą trupy maszyn i legenda, o dobrych białych panach, którzy przyszli z nieba. . .

Chory ożywił się. Zmatowiałe oczy zabłysły, twarz nabrala kolorów. Zdawna niewidziany uśmiech zawisł na wargach.

. . . Największą atrakcją załóg,—ciągnął dalej—są odwiedziny Egiptu. Dawno zadzierzgnięto serdeczne stosunki z Brygadą Polską stacjonowaną w Egipcie, Wojskami Brytyjskimi i miejscową ludnością. Każde zjawienie się lotników polskich jest sensacją, tubylcy biegną za nimi krzycząc "Bolonia. . . Bolonia. . .", jeńcy włoscy salutują wszystkim z szacunkiem.



Oficerski bungalow mieszkalny i auto służbowe

Specjalnie serdeczne stosunki łaczą Brygadę Polską i polskie załogi lotnicze z wojskami australijskimi.

* * *

Wiele jest faktów wielkich i porywających, wiele ciekawych i wesołych, które kiedyś historyk czy pilny kronikarz spisze, ku większej chwale i zasłudze tych na wszystkie krańce świata rozrzuconych, co na morzu, w powietrzu, w piaskach pustyni i śniegach Norwegii walczyli o jedno—Niepodległość, i szukali jednego—Odwetu!

* * *

. . . Przypadła siadając maszyna. Zaszumiały opony kół na asfalcie, zgrzytnęły hamulce. Z wnętrza wychodzili piloci. Rozgrzane powietrze drgało. Na piersiach osiadła spiekota oblewając potem ciała. Witało przybyłych Złote Wybrzeże. Po 6.000 kilometrów przelotu. Za kilka czy kilkanaście dni, odlecą—konwojem. Nad morzem, dżunglą, sawanną i pustynią. I znów wrócą. I znów pić będzie słońce i wysysać wilgoć, krew z żył i siłę z ciał. I nocą będą grały świerszcze budząc ze snu, a zwiewne, drobne moskity kąśliwym, przelotnym dotknięciem wleją w krew straszliwy dar podzwrotnikowej nocy—m a l a r i ę! . . .

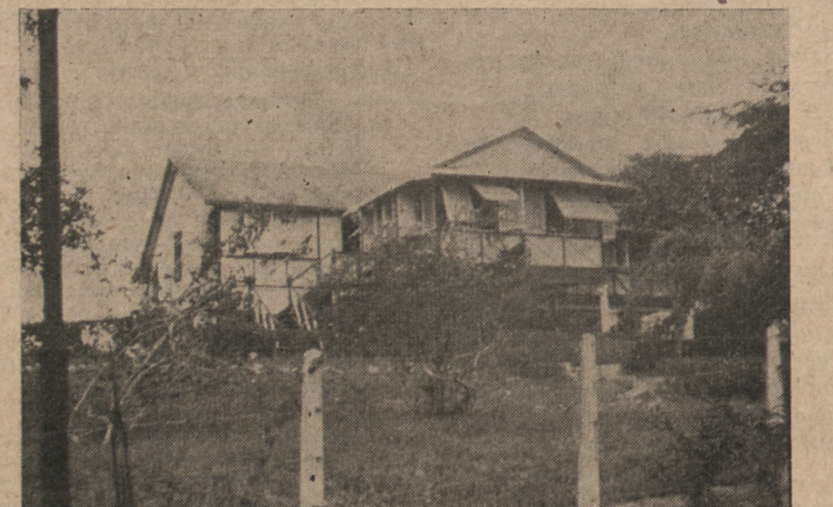
Zamknęły się oczy chorego, na pobladłej z wysiłku twarzy położyły się cienie zmęczenia. Ostatnie promienie słońca obsypały ją złotą aureolą—i twarz ta, wyglądała jak z wosku.

Motyl na oknie odleciał. . .

Jerzy Głębocki



Widok na miasteczko murzyńskie



Bungalow na palach wysokości jednego piętra dla ochrony przed termitami, skorpionami i żmijami



Bujna roślinność tropikalna na brzegu jednej z pobliskich rzek



Lotnicy polscy na tle kopca termitowego

Nad Berlin

Tego dnia był polski koncert na lotnisku. Wychodziliśmy z sali teatralnej oszołomieni melodiami oberków i kujawiaków, udając się wprost do sali odpraw załóg.

Na mapie operacyjnej, od naszego lotniska poprzez morza i kraje ciągnęła się czerwona wstęga wskazująca trasę. Było jasne, że dziś w nocy Berlin. . . .

Oficer Operacyjny dla formalności jednak zagaił:

—Tym razem znowu Berlin, proszę panów. Cel: Y Nalot, powiedzmy, z kierunku X.

Potem jeszcze kilka słów na temat obrony przeciwlotniczej na trasie i nad celem, ładunku bomb, punktów orientacyjnych, radiosygnałów wywoławczych, oraz kilka innych szczegółów i—na tym koniec.

Wzięliśmy się do roboty ostro, bo aczkolwiek teren Niemiec z naszych nocnych wędrówek znamy już stosunkowo nieźle, to przecież przygotowanie długiego lotu, zwłaszcza jak ten, około 2.000 kilometrów, wymaga dwóch do trzech godzin; no a Berlin jako cel—sami rozumiecie—ma u nas szczególne względy. Robiąc "na szaro," jak to się u nas mówi, każdy niemiecki obiekt, jak Kiel, Düsseldorf, Kolonię lub inny, wkładamy w to maksimum serca; ale Berlin—to już zupełnie coś innego; to więcej, niż tamte cele razem wzięte.

Krótko przed startem Dowódca Dywizjonu rzucił kilka ostatnich uwag i w końcu powiedział:

—Chłopcy, zawsze czytam z waszych twarzy, że zagrzewać was nie potrzeba; dzisiaj jednak chcę wam specjalnie przypomnieć, że zarówno jak na wasze wyniki tak i na was czeka tam 30 milionów, lecz—zanim wrócicie tam—tutaj czeka jeszcze kilka tysięcy ton bomb, które trzeba wyrzucić. Musicie wrócić, bo jesteście wojnie i tamtym, co na was czekają potrzebni. Szczęść wam Boże, chłopcy!

Słońce już zachodziło, gdyśmy kolejno kołowali na start. Obciążone maszyny wyły pełną mocą silników, dźwigając się leniwie w powietrze. Nad lotniskiem zatoczyliśmy po jednej rundzie, w czasie której podano nam jeszcze ostatnie wskazówki przez radio. wreszcie sakramentalne "Good luck" i odchodzimy na kurs.

Przez całą Anglię i większą część Morza Północnego mieliśmy lot bez specjalnych wrażeń chyba to tylko, że chcąc przebić się ponad chmury obmarzliśmy dość gwałtownie. Zarówno płatowiec, jak i śmigła zrobiły się srebrne, a szyby pokryły się warstwą lodu. Obawiając się zablokowania sterów lodem, co szczególnie nad morzem jest nieprzyjemne—pilot zdecydował się lecieć pod chmurami.

Dopiero w pobliżu brzegów zaczęły nas macać reflektory i ogień działek ze statków nabrzeżnych. Znamy go już zresztą dobrze: jest on mało skuteczny, więc nie wiele zwracaliśmy na niego uwagi.

Nad lądem chmury się skończyły, więc bez ryzyka mogliśmy nabrać zamierzoną wysokość, co bardzo nam się przydało, gdyż ogień stawał się co raz gęstszy i reflektory co chwila, jak batem, smagały po maszynie.

Monotonny dźwięk silników dawał złudzenie zupełnej ciszy. Była czarna, hebanowa noc. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, tylko gwiazdy migotały do nas przyjaźnie. Lecieliśmy w zamyśleniu, a w duszy dźwięczały wciąż jeszcze kujawiaki i oberki, myśl ciągle wracała na salę koncertową, gdzie pani w barwnej łowickiej sukience, taką cudną piosenkę "Głos z daleka" śpiewała. . . .

I znowu bliska seria artylerii—odłamki zadudniły po płatach, i znowu cisza . . . I głos pułkownika, co mówi, że nas 30 milionów czeka . . . I mapa, a na niej setki mil zarówno w jedną jak i w drugą stronę: i do tych 30-tu milionów, i do tych bomb co jeszcze niezaładowane czekają. . . .

I znowu bliska seria budzi z zamyślenia. . . .

Od granicy niemieckiej ogień staje się co raz gęstszy. Do celu jeszcze dwie godziny.

W pewnej chwili tylny strzelec

—Powyżej z tyłu z lewej—myśliwiec . . . Podchodzi: 400 yardów—300 . . . 200 . . .

Słyszę grzechot kaemów naszego strzelca— i znowu cisza.

Co jest Jasiu?



rys. Artur Horowicz

—Normalnie, wołał odskoczyć—odpowiada strzelec.

Wreszcie—setki, tysiące reflektorów i rozrywających się pocisków dają nam znać, że tu właśnie jest stolica "zbawców świata" (Miasta właściwie nie widać).

Niemcy stawiają nam jedną zaporę ognia za drugą. Po prostu na wszystkich wysokościach, powyżej i poniżej nas, na kierunku naszego lotu powstają ściany rwących się pocisków.

Nerwy zaczynają się napinać. Wzmaga się uczucie zaciętości i pogardy. Nie mogę powiedzieć, aby to była wściekłość—nie: coś zupełnie innego; raczej uczucie satysfakcji, że to właśnie tutaj Niemcy, że Berlin, że tysiące, miliony . . . że teraz tam wyją syreny, jak wyły w Warszawie, że tam w Berlinie ktoś zapewne przez radio ogłasza . . . "Uwaga—uwaga . . . Nadchodzi . . .", że to my teraz—załogi polskich dywizjonów. . . .

—Otwórz drzwi bombowe—mówię do pilota.

Włączam kontakty bomb. Światła kontrolne na tablicy rozdzielczej sygnalizują, że wszystko jest w porządku.

Maszyną rzuca od podmuchów rozrywających się co raz bliżej pocisków. Chcą nas zmusić do zawrócenia.

W świetle rzuconej bomby oświetlającej przez krótki moment zobaczyłem cel. Jest trochę w przodzie, z lewej. Niemcy strzałami artylerii starają się zgasić moją bombę oświetlającą, co zresztą udaje im się po chwili, ale mnie ona jest już niepotrzebna, bo uchwyconego punktu nie zgubię.

Poprawiam pilota:

—W lewo.

Kontroluję nastawy celownika. Cel posuwa mi się po nitkach. Jeszcze jedna poprawka. . . .

—Dobrze . . . dobrze, trzymaj maszynę, uwaga . . . uwaga . . . Bomby!

Naciskam guzik wyrzutni, strzałka dystrybutora powoli obraca się w prawo, zwalniając kolejno tysiące funtów ładunku.

—Poszły!

Światła sygnalizują, że wypadły wszystkie. Teraz czekam na wybuchy i robi mi się jakby żal, że już poszły, że może jeszcze trzeba było je poprawić, może nie trafią, może w jakiś cholerny park padną zmarnowane.

Czekam . . . czekam, czekam . . .

—Bach, bach; bach, bach, bach, bach—pomarańczowe błyski wybuchów.

W ułamach sekund robi się tam widno. Widzę domy, ulicę, stację kolejową—trafione!

Pilot robi gwałtowny skręt, gdyż wiązka kilkudziesięciu reflektorów zaczyna się krzyżować nad nami.

Właściwie omijać już nie ma co, gdyż wszędzie ogień ten sam—bezustanny i gęsty. Odłamki dzwonią po płatach, ale jakoś nie wyrządzają nam krzywdy. Wreszcie po kilku minutach ogień słabnie.

Podaję pilotowi kurs powrotny. Zostawiamy za sobą łunę co raz bardziej rozpalającego się pożaru. Następnym będzie łatwiej znaleźć: widzę jeszcze wybuchy następnej i następnej maszyny i tak tam będzie jeszcze kilka godzin . . .

I—znowu mapa, i znowu podziałka długich setek mil do Anglii, choć tak bardzo blisko do Polski. . . .

Chwilami szaleńczy pomysł przychodzi mi do głowy: podam pilotowi inny kurs. . . . Przecież pułkownik mówił, że tam 30 milionów czeka . . . Ale równocześnie przychodzi świadomość: te setki tysięcy bomb, "które wpierw wyrzucić trzeba" . . .

Droga powrotna—bez wrażeń. Jak w tamtą stronę: przyćmione światła w kabinie i oczy pilota skupione na fosforyzujących tarczach zegarów. Wypieszczone rękami polskich mechaników motory grają melodie kujawiaków i oberków. Znowu smugi reflektorów, i różne myśli, i mapa i busola, i chaotyczna niecelna już strzelanina Niemców, i strzałki zegarów benzynowych, wskazujące co raz niższe cyfry i żal, że to nie na wschód, lecz na zachód wracać trzeba.

Adam Irynicz

Wojna na morzu

BRAMY MORSKIE DO ROSJI

Istnieją obecnie trzy "bramy morskie" do Rosji: 1) przez Zatokę Perską, 2) przez Ocean Lodowaty i Morze Białe oraz 3) przez Władywostok. Czwarta brama, bałtycka, jest zakorkowana dokładnie w przesmyku Sundzkim i na Bełtach Duńskich. Warto było by poruszyć sprawę czy ten korek mógłby być wysadzony. Mówiono o tym, a nawet pisano sporo, jeszcze przed wojną w Polsce, ale dzięki błędom traktatu Wersalskiego, wówczas już sprawa ta była prawie nie do rozwiązania. Świętej pamięci "Koalicja" poprzedniej wojny przegapiła Bałtyk i zaniedbała czwartą i najważniejszą bramę do Polski i do Rosji. Następstwem tego, pisząc bardzo delikatnie, niemądrego załatwienia sprawy cieśnin bałtyckich i samego Bałtyku było przedwczesne, w porównaniu z możliwościami innych strategiczno-morskich rozwiązań na Bałtyku—wycofanie się floty polskiej na Atlantyk, a obecnie jest możliwa również przedwczesna utrata floty sowieckiej.

Tak więc stwierdzić należy, że Sprzymierzonym pozostały tylko trzy bramy do Rosji, z których najdogodniejszą i stosunkowo najszybszą jest droga na Ocean Lodowaty i Morze Białe, do Murmańska i Archangielska. Dlatego to właśnie Niemcy robili takie wysiłki, aby dostać się do Murmańska. Dlatego napewno nie pozwoliła Finlandii na żaden krok samodzielny. Dlatego, jak donosi prasa amerykańska, Islandia i Cape Norte są specjalnie odwiedzane przez niemieckie okręty podwodne, a jak napisał "*New York Times*" obrazowo: "między Grenlandią, Szpitzbergen i północną Norwegią roi się od U-boten." Nie mniej okręty sprzymierzonych, właśnie na tym "rojącym się" Oceanie, dają sobie radę.

"*Z każdym dniem*—powiedział Pierwszy Lord Admiralicji Alexander w mowie w Worthing (10 b.m.) —*konwoje do Rosji, eskortowane przez flotę brytyjską, będą się wzmagały i mnożyły, o ile opór rosyjski będzie trwał nadal. Jest to sprawa zasadnicza dla naszego narodu i Stanów Zjednoczonych, aby te transporty dotarły na miejsce . . . . . "Dotąd nie napotkaliśmy przeszkód na tej drodze i nie mieliśmy tam dużych strat. Jednakże musimy być przygotowani, że lada chwila takie straty i przeszkody mogą się stać rzeczywistością.*"

Pierwszy lord Admiralicji stanowczo zastrzegł się przeciw twierdzeniom, że Wielka Brytania "nawet palcem nie tknęła w sprawie pomocy dla Rosji drogą morską." "Marynarka Brytyjska" powiedział tenże minister—"dołożyła do tej pomocy znacznie więcej, niż jeden palec i daje tę pomoc całą garścią." Przypomniał następnie, że Marynarka Wojenna Sprzymierzonych zbombardowała z powietrza Petsamo w Finlandii, uniemożliwiając na pewien czas dalszą akcję niemiecką na tej dalekiej północy, że kontr-admirał Vian niedawno zatopił krążownik niemiecki wraz z kontrtorpedowcem i paru statkami transportowymi, wiozącymi wojsko niemieckie do Rosji (Północnej Finlandii), że R.A.F. współdziała z marynarką na tej drodze bardzo skutecznie, bombardując statki niemieckie i skupienia statków w fiordach Północnej Norwegii.

A dodać trzeba do tych słów Alexandra, że akcja ta jest tak skuteczna, iż, jak donosi gazeta szwedzka "*Social Demokraten*." Niemcy zmuszeni byli zupełnie zawiesić żeglugę przybrzeżną na północ od Trondheim. Wojska niemieckie, które ostatnio załadowały się na statki w Trondheim i miały wypłynąć na północ, wyładowano z powrotem, i koleją wysłano na południe. Niemieckie przygotowania obronne na wybrzeżach norweskich prowadzone są z możliwie największą szybkością.

Admiralicja Brytyjska zresztą otwarcie podkreśla ważność tej drogi wzdłuż i ponad Norwegią w komunikacie z dnia 11 października b.r.

"*Celem zniszczenia nieprzyjacielskich statków dowożących zaopatrzenie dla wojsk niemieckich w północnej Rosji samoloty brytyjskiej Marynarki Wojennej wykonały wiele ataków na morskie linie komunikacyjne w rejonie norweskich fiordów północno-zachodnich. Poczynając od środy bieżącego tygodnia, pomimo tak bardzo złych warunków atmosferycznych, że niektóre samoloty zmuszone były powrócić, eskadry Lotnictwa Morskiego docierają do bardzo oddalonych punktów, spaliły okręt pomocniczy około 1.000 tonn, zniszczyły urządzenia elektrowni na wyspie Grond, a podczas dnia zatopiły statek 1.500 tonn i spaliły dwa okręty pomocnicze, każdy około 2.000 tonn, eskortowane przez okręt, przeciwlotniczy (niedaleko Bodo). Wszystkie samoloty eskadr morskich powróciły do swoich baz.*"

W tym samym dniu Ministerstwo Lotnictwa doniosło, że atak powietrzny na statki, zgromadzone w Alesund, powiódł się nadspodziewanie i że szkody wyrządzone Niemcom były znacznie większe, niż to początkowo przypuszczano. Kilkanaście statków zostało trafionych i zatopionych, a między innymi duży statek pasażerski (transportowiec).

Ta energiczna akcja z powietrza wspierana jest z morza co raz skuteczniejszą walką z okrętami podwodnymi. Wprawdzie Amerykanie, żądni sensacji, wypisywali całe szpalty na temat "blokady Islandii przez piratów podwodnych," ale transporty idą tamtędy nieustannie i walka z okrętami podwodnymi jest prowadzona bez przerwy. Przybiera ona zaś formy bardzo ciekawe, często na pierwszy rzut oka nieprzewidziane.

ZWYCIĘSTWO TRAULERA NAD OKRĘTEM PODWODNYM

Oto co opowiedział kapitan marynarki A. H. Callaway z *Royal Navy Volunteer Reserve*, dowódca traulera "Lady Shirlay":

"*Był wczesny ranek, gdy marynarz stojący na oku zameldował jakiś przedmiot na morzu. Gdy "przedmiot" ten po chwili zniknął pod wodą potwierdziło to moje przypuszczenie, że jest to kiosk okrętu podwodnego i że okręt ten zauważył "Lady Shirley." Mój trauler zrobił szybki zwrot w tym kierunku, w którym ukazał się tajemniczy przedmiot, i zrzucił parę bomb głębinowych. Wówczas, z zadziwiającą szybkością, peryskop ukazał się nad wodą nie dalej, niż 500 yardów od nas. Dowiedziałem się później od jeńców, że bomby głębinowe porobiły dziury i szereg uszkodzeń, które zmusiły okręt podwodny do natychmiastowego wynurzenia.*

Gdy następnie kiosk ukazał się na powierzchni, nasz karabin maszynowy rozpoczął pracę. Niemcy właśnie wyskakiwali z włazu, chcąc widocznie uruchomić swoje duże działo. Przy tych usiłowaniach zginęli od razu: dowódca okrętu podwodnego i dwu oficerów niemieckich. W tym momencie przemówiło i nasze działo okrętowe i, choć pierwsze dwa strzały spudłowały, reszta dosięgła celu. Różne typy pocisków wybuchły obok okrętu i w samym okręcie podwodnym. Załoga niemiecka, widząc, że dalsza walka jest dla nich niemożliwa, zaczęła wydostawać się z wnętrza i, podnosząc ręce do góry, dawała nam do poznania, że zamierza poddać swój okręt. Ale ja nadal trzymałem w pogotowiu wszystkich ludzi na traulerze.

"U-bot" straciła swoją szybkość i nagle zaczęła tonąć. Po minucie dziobem na przód zanurzyła się w falach. "Lady Shirley" wyratowała 45 niemieckich marynarzy na 52 członków załogi. Wszyscy Niemcy byli zgnębieni i zawstydzeni, że taki mały niemiecki okręt zatopił ich okręt podwodny. "Działaliście nazbyt szybko"—twierdzili.

Jak z tego opowiadania widać, również i na morzu szybkość i zdecydowanie dają każdemu, nawet najmniejszemu przeciwnikowi, przewagę. Powolność, obawa ryzyka i zwlekanie z decyzją dać mogą tylko przegraną.

SZYBCIEJ, SZYBCIEJ, SZYBCIEJ!!!

W chwili, gdy piszę te słowa, decydują się losy Moskwy. Na lądzie trwa straszliwa i jeszcze jedna ofensywa niemiecka. Kosztem olbrzymich ofiar i z gigantycznym wysiłkiem organizacyjnym i materiałowym, Niemcy na lądzie starają się zdobyć to, czego nie mogą osiągnąć na morzu. Cały świat, rozumiejący niebezpieczeństwo i stojący u boku Wielkiej Brytanii i jej sprzymierzeńców, przygląda się z niepokojem ciężkim zapasom. Jednocześnie wszyscy rozumieją konieczność nie tylko pomocy Rosji i Wielkiej Brytanii, ale konieczność natychmiastowej, energicznej, bezwzględnej akcji. Co z tego, że zdobędzie się wspaniałe, nowe lekarstwa na chorobę, gdy pacjenci umrą przedtem? . . .

"Szybciej, szybciej, szybciej" —idzie głos po całym świecie, wołają wszystkie głośniki, widnieje w nagłówkach wszystkich pism od lewa do prawa. . . . Prezydent Roosevelt zażądał od Parlamentu Stanów Zjednoczonych rewizji prawa o neutralności i żąda natychmiastowego uzbrojenia statków amerykańskich. Jednocześnie "mówi się" w Waszyngtonie, że statki amerykańskie będą docierać aż do wybrzeży i do portów Wielkiej Brytanii i Rosji, a więc państw czynnie walczących, czego dotychczasowe prawo o neutralności zabraniało.

Idą narady, piszą, piszą, piszą . . . mówią, mówią, mówią. A tymczasem młot niemiecki ślepy, głuchy, niemy i druzgoczący—wali i wali. Opinia całego świata woła, że już czas najwyższy przejść do działań czynnych, że "tempo amerykańskie" dawno przestało być określeniem szybkości i zdecydowania.

Tysiące marynarzy flot wojennych sprzymierzonych i tysiące marynarzy statków handlowych, spełniających swoją niebezpieczną i dzielną służbę: i z małych traulerów i ci z wielkich okrętów i ci z powolnych jak nieszczęście transportowców, wołają, patrząc na polityków amerykańskich i na ludzi, którzy decydują: szybciej, szybciej, szybciej!

Londyn, 11 października.

Bohdan Pawłowicz

Bez black-outu

Gdy przedwczoraj zadzwonił telefon w przedpokoju mojej kwatery byłem bardzo zajęty pisaniem po raz jedenasty w tym roku moich danych osobistych dla celów ewidencji wojskowej, więc poprosiłem pięknie szkocką gospodynię by powiedziała do telefonu, że "nie ma mnie w domu". Szanowna lady spojrzała na mnie jak na "paraszuta" i stwierdziła z głębokim przekonaniem: "You are. I am very sorry, but you are!" *Więc ja z kolei stwierdziłem, że* "I am" *i poszedłem do telefonu.*

Gdy wczoraj w znajomym domu szkockim byłem na skromnej "party" *— śpiewała córeczka gospodarzy przy własnym akompaniamencie. Angielska szkoła śpiewu połączona z brakiem głosu, powoduje na ogół wrażenie wycia lokomotywy przed sygnałem:* "stop." *Uśmiechnąłem się kwaśno, gdy skończyła i biłem mocno brawo. Jakież było moje zdziwienie, gdy stwierdziłem, że moje brawo było. . . . jedyne. Ojciec niefortunnej solistki pokazywał gościom w tym czasie sztuczki karciane, matka skwapliwie zajęła się herbatą. Gdy wracaliśmy z tej* "party" *szkocki narzeczony "śpiewaczki" stwierdził szczerze, że:* "Molly has a terrible voice, I am very sorry, but she likes singing".

Dwie prawdy życia codziennego drobne, ale jaskrawo rzucające się w oczy, prawdy nieprawopodobne. Jakby to u nas wyglądało nie trudno zgadnąć, każdy łatwo wyobrazi sobie łżącą jak z nut gospodynię, każdy odtworzy sobie obraz pękającego od fałszywych uśmiechów i zachwytów saloniku, zakłamane szepty pań: "Mały głosik, ale zato czyściutki," jakiegoś Dulskiego, bijącego brawo własnej córce i wreszcie narzeczonego, który gotów w każdej chwili skoczyć do oczu w obronie fałszywej koloratury bogdanki.

Chodzi za nami wszędzie, chodzi nawet tu, po terenie emigracyjnym, ta tak oddawna okłamywana prawda. Od drobiazgów się te kłamstwa zaczynają, a kończą się na wielkich rzeczach. Spróbujmy mówić o tych drobnych.

W Wielkiej Brytanii pytano mnie już nieraz, czy Polacy ocalili szczęśliwie wszystkich swoich sławnych artystów, bo nie ma afisza polskiego, który by nie głosił występu: "famous Polish. . . . . *takiego a takiego*". *Jak po deszczu szkockim mnożą się te nasze* "famous" *zespoły. Basia Kociurkiewicz z Dolnego Grajdołka tańczyła raz krakowiaka w "Sokole" na Trzeciego Maja, więc oczywiście w Anglii jest . . .* "famous Polish dancer" *i poczciwe, nieznające kłamstwa Szkoty, wierzą, że to czołowa sława polska. Jakiś tajemniczy, zapewne zakamuflowany pod pseudonimem żałosny tenorek śpiewa źle i często na fali B.B.C. z jedną z czołowych angielskich orkiestr jazzbandowych. W dodatku odstawia z zamiłowaniem rosyjskie "kawałki", a głośniki huczą bolesną zapowiedzią speakera:* "famous Polish tenor . . . . taki a taki". *I znowu myślą Szkoci i Anglicy, że mieliśmy tylko takich, a nie innych śpiewaków i że nasza kultura narodowa cudem ocaliła, do Anglii przewiozła i do radia oddała tego "fejmusa"—niech mu górne tony lekkie będą.*

Chodzi między nami okłamana prawda, chodzi i o pióro prosi.

Lolo grał w Polsce na fortepianie, ot tak z amatorstwa, napisał nawet własnego foxtrotta p.t. "Gdy zapada zmierzch jest ciemno" i zdobył ogromny sukces u babci na imieninach. Gdy Lola zagnała wojna aż tu, na Wyspę brytyjską, raz przypadkiem poprosili go, aby zagrał na koncercie żołnierskim polsko-szkockim. Wiadomo, nie ma takiej drugiej widowni na świecie, jak widownia szkocka, więc Szkoty lojalnie zasypały Lola brawami, a nawet jeden z tyłu zagwizdał na dwóch palcach z radości. Zachęcony powodzeniem Lolo, napisał nazajutrz kompozycję p.t. "Dzwoni szkocki deszcz," poczem wystąpił z nią na najbliższym koncercie. Przekładał lewą rękę przez prawą i prawą przez lewą, pedału nie puścił ani na chwilę, kropił trylery i glissanda jak z cekaemu, więc Szkoci oszaleli, a że miasteczko liczyło zaledwie dwa tysiące mieszkańców, więc Lolo stał się ulubieńcem, popularnym kompozytorem, sławnym pianistą—i dziś jest już jedną z ofiar emigracyjnych okłamanej prawdy. Pewien poważny Szkot zapytał mnie onegdaj, czy to prawda, że Lolo był pierwszym pianistą w Polsce, oczywiście po . . Paderewskim. Z trudem wytłumaczyłem poczciwcowi, że straciliśmy w Polsce wszystko, że tu się ostały okruchy, że trzeba być ostrożnym w wydawaniu takich sądów.

Wojna zawsze jednym ludziom komplikowała życie, upraszczając i ułatwiając drugim pewne sytuacje. Życzę wszystkim zasługującym na sławę, i powodzenie polskim artystom, by "famous" *pisano przed ich nazwiskiem na wielkich afiszach największych koncertów w Szkocji i w Anglii. Jeden warunek; afisze te muszą głosić prawdę. W tamtej wojnie jedni łatwo dorabiali się pokaźnych majątków, inni całych rzędów odznaczeń, w tej wojnie statycznej na terenie Wielkiej Brytanii stanowczo zbyt hojnie i nieostrożnie pozwalamy wypisywać różnym emigracyjnym Lolom i Basiom z Grajdołka nietaktowne:* "famous" *przed ich nazwiskiem. Tolerując to, wyrządzamy krzywdę niepowetowaną sztuce polskiej, jesteśmy nielojalni wobec pozostałych w Kraju czołowych artystów naszych. Trzeba to opinii angielskiej i szkockiej delikatnie powiedzieć, trzeba zacząć mówić prawdę, bo inaczej przestaną wierzyć lub zaczną nas lekceważyć.*

Pewien inteligentny, muzykalny aktor szkocki, wybrał się ze mną na polskie przedstawienie dla Szkotów, organizowane "somewhere in Scotland". *Słuchał bardzo życzliwie—początkowo—potem co raz rzadziej patrzył na scenę, a co raz częściej na mnie. Co się tam nie działo na scenie? Śpiewała* "famous" *porucznikowa, występował* "famous" *fałszujący* "choir", *a* "very popular Polish pianist" *ledwie czytał z nut Szopena, łamiąc sobie palce a nam kalecząc uszy. W przerwie zagrała* "famous" *orkiestra, która "zeszła się" razem nareszcie przy finałowym akordzie.*

Aktor szkocki widząc moje rumieńce dopiero przy orkiestrze zatkał sobie uszy—mówił, że . . . "za głośno grają". Widząc, że jego okłamują, on także skłamał. Gdy zachęciłem go do szczerości, przyznał otwarcie, że to jest "very bad concert" *przy czym biadał nad losem tylu "sławnych" artystów, którzy, widocznie wskutek przejść wojennych, tak się zepsuli na emigracji. Dużo czasu straciłem tłumacząc mu, że pani porucznikowa sopranowa "pierwszy i ostatni raz" śpiewała w Polsce, gdy "był dzień kwiatka" w Potutorach, a sławna orkiestra jest skleconym na prędce amatorskim nieporozumieniem i gra razem najwyżej tydzień wliczając zbiórki i odprawy, zaś* "very popular pianist," *jeżeli istnieje poczucie odpowiedzialności, powinien dostać* 14 *dni "lekkiego" i zakaz wstępu do pomieszczeń, w których znajdują się instrumenty muzyczne.*

Nakreśliłem obrazek koncertowy jeden z wielu. Dodajmy jeszcze do tego "konferanciera", który jąka się między numerami po angielsku (nadając swemu "th" *dźwięk szyby w czasie bombardowania), nie gardzącego dowcipami o sztucznych szczękach Szkotek, co usłużne polskie* soldiery *na widowni interpretują dodatkowo swoim towarzyszkom, a dojdziemy do wniosku, że zarówno nasza propaganda wojskowa jak i cywilna winny wkroczyć w te sprawy, zarejestrować urzędowo wszystkich "fejmusów" zakazując występów szkodliwych, o których publiczność brytyjska nie wie, że są amatorskie, nieprzemyślane, choć zakrojone na szeroką skalę, wie tylko jedno: że są* polskie.

Sedno rzeczy leży niewątpliwie w tym, że co drugi Polak, czy Polka czuje się w obowiązku robić na tym terenie propagandę. Wypadają z tego tragiczne komedie pomyłek. Szkoda, że w radio angielskim nie słyszymy np. Toli Korian, Błaszczyńskiego, Nowakowskiego, szkoda że los rzucił artystów teatru polskiego z Francji podobno aż do Afryki. Źle, że tak cicho o Kiepurze w Ameryce, a tak głośno o Lolu w Szkocji. Źle, że propagandę robi na własną rękę pan Krzykalski "somewhere in Scotland" *i pani Bajdulińska* "somewhere in England". *Niewątpliwą zasługą żołnierza polskiego pozostanie także i to, że nasycił propagandowo Szkocję w ciągu rocznego tutaj pobytu, ale wiedza Szkotów a naszych sprawach jest chaotyczna, często nieścisła. Najwięcej pożytku przyniosły książki o rzeczach polskich w języku angielskim, publikacje ilustrowane, kalendarze; najwięcej szkody* "famous" *imprezy /dobre w swoim gronie/ zakrojone szeroko, źle wykonane, na zerowym poziomie artystycznym.*

Nie można hamować rozwoju młodych sił artystycznych—rzecz jasna—przeciwnie trzeba wyławiać talenty, dać im możność rozwoju na trudnym terenie emigracyjnym, trzeba myśleć o tworzeniu artystycznych kadr na przyszłość, ale przedtem musi się przeprowadzić ścisłą selekcję.

Za niezapięty guzik pod kołnierzem w battledressie żandarmeria "zapisuje"—niechże ktoś zapisze tych "famous" *artystów, którzy rozpoczynają swój debiut artystyczny od sławy zdobytej jednym drukowanym słowem wyrządzając nim więcej szkody sztuce polskiej niż pożytku przynosząc propagandzie.*

U podstaw tego drobnego, acz bardzo doniosłego zagadnienia, z którego ściągnęliśmy dzisiaj blackout, kryje się tak dobrze znany kult niefachowości. *Uniknąć winniśmy pomyłek, skutkiem których szewc robić będzie ciastka, a cukiernik buty, nie powinniśmy, szczególnie na emigracji, dopuszczać do takich paradoksalnych sytuacji, by doskonały publicysta czy literat uczył się na gwałt techniki radiowej, a dobry fachowiec radiowy brał się do polityki i korekty dziennikarskiej. Jest to robota w pustkę. Improwizacja. Robota bezwartościowa.*

Chodzi wśród nas, chodzi, tuła się jak niespokojny duch okłamywana prawda.

Wiktor Budzyński

P.S. Dla uniknięcia nieporozumień stwierdzam, że z obecnie pełnionej służby jestem całkowicie zadowolony i nie reflektuję na niczyje stanowisko. Wszystkim pożytecznym imprezom polskim życzę: Szczęść Boże.

Z życia obozów

Święto 16–go Dywizjonu Artylerii Motorowej



Gdzieś w Szkocji, nad wzgórzami porosłymi wrzosem, wśród łąk najzieleńszych, zapada wieczór. Ciemna ściana lasu pozwala jeszcze dojrzeć rozrzucone w jej cieniu namioty. Nie ma wokół nich w tej chwili normalnego życia obozowego. Błyszczy bagnet samotnego posterunku u wejścia. Obóz jak wymarły.

Ale w głębi lasu, gdzie miejsce polowej kaplicy, zapala się jakieś światło, potężnieje, staje się ogniskiem. Czerwone iskry sypią się ku zielonemu pułapowi liści. W ich blasku można już rozróżnić milczący czworobok żołnierzy. Skupione spojrzenia, gdy wyprostowany oficer czyta z listy nazwiska. Kładą się te nazwiska jak pokos wiosennej trawy. Litania nieskończenie długa. Za każdym wyczytanym nazwiskiem pada z szeregów słowo: "Poległ na polu chwały"—i pada ku ognisku rozżarzona pochodnia.

Zdziwiony przechodzień sądziłby, że jest to jakaś inscenizacja do fantastycznego widowiska, kiedy jak w napoleońskim apelu pada nazwisko Pierwszego Grenadiera Francji i odpowiada echo z szeregów: "Poległ na polu chwały."

To w dniu 21—go września, w pamiętne Święto 1-go Pułku Artylerii Motorowej, 16 Dywizjon biorący swój początek z tego pułku stanął do wieczornego apelu poległych.

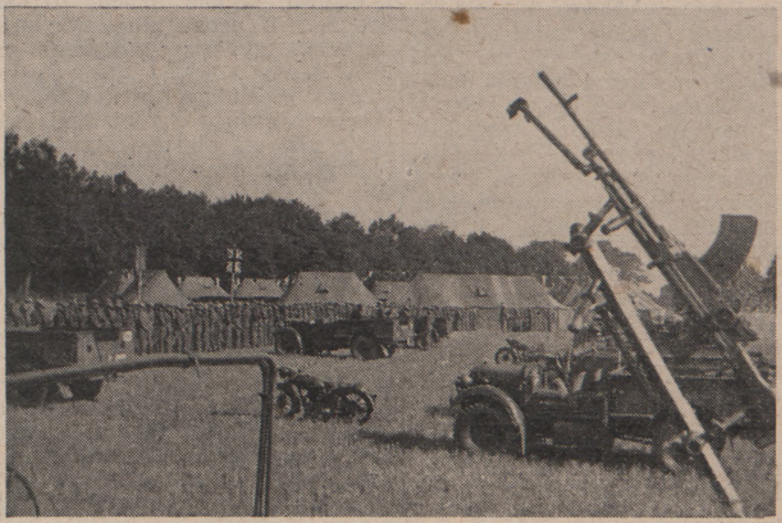
Następny dzień, niedziela jest zato radosnym Świętem Kanonierów.

Na rozległym polu, na ścierni złotej jak na polach Polski, przed ołtarzem zaimprowizowanym na samochodzie, wyciągnięta linia wozów bojowych. Baterie za bateriami. Chłodne lufy dział, apokaliptyczne cielska ciągników. Cień pada na zakute w hełmy, mazurskie, górnoślązackie, góralskie, kresowieckie twarze żołnierzy. Cień od najpogodniejszego nieba szkockiego, jakie nam było użyczone na dzień naszego święta.

Chwieje się w górze i szeleści las flag i sztandarów.

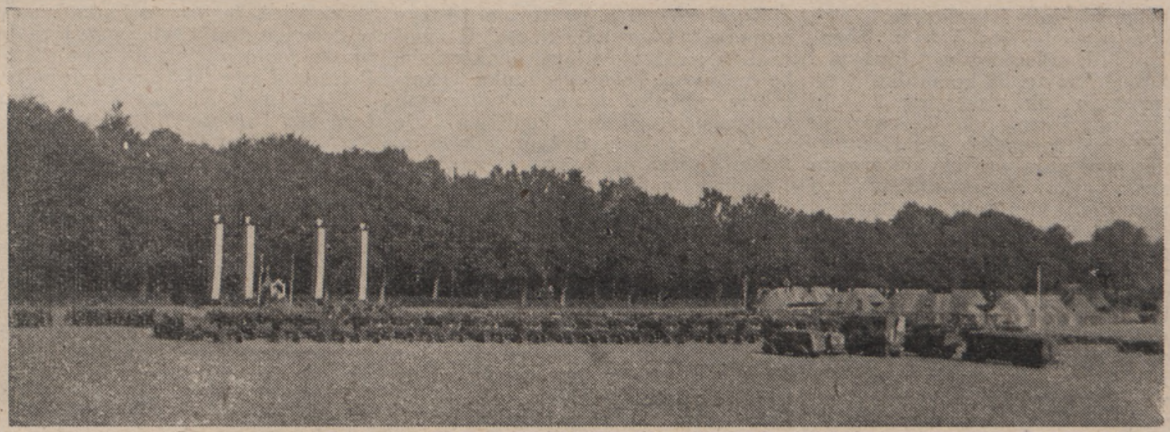
Raport odebrał przy dźwiękach Hymnu Narodowego Naczelny Wódz Generał Sikorski.

W otoczeniu Dowódcy 10 Brygady Kawalerii Pancernej i Dowódcy Korpusu zajął miejsce przed ołtarzem. Trębacze 10 P. S. K. grają Hasło Wojska Polskiego, kiedy Sztandar Pułkowy i Sztandary innych pułków Brygady idą na miejsce honorowe przed ołtarz.



Padają słowa kaznodziei za słowami poety: "znów o Polsce głośno, kiedy Polacy się biją . . ."

Po nabożeństwie defilada Dywizjonu przed Naczelnym Wodzem. Szeleści asfalt dróg szkockich pod protektorami kół. Chyli się sztandar przed trybuną.



W kole namiotów zastawiony obiad żołnierski. Goście między żołnierzami i oficerami Dywizjonu. Jest to chwila radości i gościny biesiadnego stołu, biesiady z imienia, prosty żołnierski poczęstunek.

Po przemówieniu Dowódcy Dywizjonu twarze zwracają się ku Naczelnemu Wodzowi.

Padły słowa nie zdawkowe, ale słowa otuchy, słowa poważnego optymizmu. Słowa ciepłe dla Artylerii. Echo powtarza okrzyk na cześć 16-go Dywizjonu.

Kończył się piękny dzień wrześniowy. Przechodzi już do wspomnień. Pozostawił pogodną jak on sam nadzieję, że przyszłe Święto będzie już tam, gdzie lecą nasze myśli w dobrej czy złej doli.

Zygmunt Haupt

fotografie Ludwika Olańczuka

"Dwa do kółka"

Polsko-czechosłowackie zawody w piłce nożnej

Na ulicach, prowadzących do stadionu sportowego w Perth, ruch wielki. Ze wszystkich stron zjeżdżają auta ciężarowe, przeważnie nowe, duże trzytonówki i wyrzucają swój rozgadany i rozśpiewany żołnierski ładunek przed bramami wiodącymi na boisko. Przybywa także karetka sanitarna i gromadka ozdrowieńców pod opieką pielęgniarki powoli zmierza ku trybunie. Wśród masy mundurów nieśmiało drepta cywilna mniejszość szkocka miejscowych miłośników sportu, którzy zachęceni przez lokalną prasę, śpieszą zobaczyć "kontynentalny football" w wykonaniu reprezentacji piłkarskich Armii Czechosłowackiej i Polskiej.

Na trybunie już tłoczno i gwarno. Usadowiona w pierwszych rzędach siedzeń orkiestra jednej z polskich brygad przypomina zgrupowanym w szatniach zawodnikom obu reprezentacji wspólny okres niewoli austriackiej. . . wiedeńskim walczykiem. Sportowcy wszelkiego autoramentu i co gorętsi "kibice" żywo omawiają szanse piłkarskiego zwycięstwa, nie wróżąc na ogół naszej jedenastce sukcesu. Podobno w obozie ćwiczebnym nie wykazali nasi gracze dobrej formy, poza tym jakaś lokalna gwiazda z "oeru", czy artylerii, nie została wstawiona do reprezentacji, ktoś inny znowu gra nie na swojej pozycji—jakże tu w takich warunkach można wygrać? Częste wszakże są i przeciwne opinie, a spora gromada optymistów przepowiada czeskiej "Armadzie" dotkliwą klęskę. . . na zielonej murawie. Kilku Szkotów usadowionych wysoko na poddaszu trybuny, proponuje rozstrzygnięcie sporu w drodze zakładu, ale transakcja nie dochodzi do skutku, bo właśnie "górne sfery" trybuny wierzą niezłomnie w zwycięstwo polskie, a Szkoci także chcą stawiać na "*Polish boys*".

Zbliża się początek zawodów więc dyskusje cichną i jeszcze tylko mój sąsiad rzuca filozoficzną uwagę w stylu Wiecha: "o co się tu spierać kto kogo naparzy, kiedy i tak i tak w federacji żyć będziem, a takiem sposobem nikt tu przegrany być nie może." Zanim oczywista słuszność tej uwagi zdołała zyskać sobie uznanie, drużyna czesko-słowacka, wśród grzmotu oklasków, wbiegła na boisko, a tuż za nią nasi chłopcy. Jeszcze huczniejsze brawa potwierdziły odbiór czeskiego okrzyku powitalnego: "Na zdar" i polskiego: "Czołem", poczem wśród zupełnej ciszy orkiestra odegrała hymny państwowe bratnich narodów.

Następuje wspólna fotografia drużyn, poczem. . . Polacy schodzą z boiska. Okazało się bowiem, że obydwie reprezentacje mają podobne kostiumy, bo i barwy narodowe obu krajów są podobne, więc Czesi są czerwono-biali, a nasi biało-czerwoni Polakom tedy, jako gospodarzom, wypadło zmienić koszulki. Po chwili gracze wracają już jako niebiesko-czerwoni. Na ten widok z pod jakiegoś lwowskiego serca wydarło się westchnienie: "całkiem jak "Poganiacze" za stryjską rogatką".

Gwizdek szkockiego arbitra i gra się zaczyna. Polacy z miejsca atakują. Środek napadu przerzuca piłkę do lewoskrzydłowego, który podprowadza ją bliżej i podaje łącznikowi. Ostry strzał chwyta bramkarz czeski, odkopuje piłkę za krótko i w następnej sekundzie musi znowu bronić. Nieźle się zaczyna, ale jakiś ostrożny pancerniak głośno wypowiada sceptyczną uwagę: "pierwsze śliwki-parszywki". Tymczasem przewaga drużyny polskiej ustala się na dłuższą chwilę. Raz po raz suną groźne ataki, czeska pomoc i obrona pracują w pocie czoła, a pobratymczy bramkarz broni pewnie i szczęśliwie.

Po kwadransie gra—mówiąc stylem sportowym — wyrównuje się i Czesi kilkakrotnie przedzierają się pod bramkę drużyny polskiej, ale pomoc i obrona likwidują te zakusy. Rzuca się w oczy w tej fazie gry dobra współpraca wszystkich linij w drużynie polskiej; szczególnie niektóre zagrania pomocy z napadem, bardzo celowe i efektowne, wywołują uznanie widowni. Kibice, którzy bajali o słabej formie jedenastki polskiej w obozie treningowym, przyciśnięci do muru, kapitulują przyznając, że widocznie nasi celowo "przyczaili się."

Kiedy jednak, po upływie pół godziny, wynik jest ciągle jeszcze bezbramkowy, szanowna publiczność zaczyna się niecierpliwić i zabiera głos. Okrzyki: "tempo, tempo"; "Wal na budę", "My chcemy goala" tworzą lekki, ale chwilami potężniejący akompaniament. Wszyscy nastawieni są na atak, gra defensywna nie znajduje zrozumienia i kiedy któryś z naszych graczy podaje piłkę w tył bramkarzowi, na widowni rozlega się potężny gwizd . . . w polskim znaczeniu. Znowu kilka wypadów polskich mija bez wyniku, a raz Keller broni brawurowo "nakrywką".

Następuje przerwa, gracze schodzą do szatni, orkiestra gra z animuszem wiązankę polskich mazurów, a potem "Humoreskę" czeskiego kompozytora Dvorzaka. Na trybunach ożywiona dyskusja na temat przebiegu gry, bardziej rzeczowa, niż przed zawodami. Obie drużyny są dobre i nie mają wybitnie słabych punktów, zgranie i przewaga techniczna są po naszej stronie, więc szanse jedenastki polskiej zwyżkują, chociaż pesymiści wyrażają, obawy czy też nasi nie "spuchną" jako że boisko jest nieco rozmokłe i ciężkie.

Po przerwie drużyna polska znowu góruje zdecydowanie. Widownia animuje swoich ulubieńców: zwinnego "myszkę" prawo-skrzydłowego, lewego łącznika i przysadkowatego Stańczyka w pomocy, który unieszkodliwia wiele czeskich ataków. Środkowemu napastnikowi drużyny polskiej nic jakoś "nie wychodzi": raz strzela w ręce bramkarzowi, to znowu z niewielkiej odległości, będąc sam pod bramką fatalnie przenosi. Sypią się liczne rzuty z rogu, przeważnie dobrze bite, tempo gry staje się szybsze. Goal wisi w powietrzu . . . ale ciągle jeszcze nie pada.



Drużyna polska atakuje (fot. Stanisław Rochowicz)

W 20 minucie "myszka" objeżdża dwóch przeciwników i podaje do środka. Środek napadu idzie na przebój, bramkarz chce ratować wybiegiem, strzał do pustej bramki . . . odbija się od słupka. Ale to jeszcze nie koniec, bo piłkę dostaje znowu prawoskrzydłowy, celne dośrodkowanie i kierownik napadu strzela nieuchronnie. Huczne brawa nagradzają niefortunnego dotychczas "dyrektora".

Z kolei Czesi ruszają do kontrataku i gra przenosi się na stronę naszych, mają nawet szanse wyrównania po rzucie z rogu, ale Keller broni przytomnie. Czarnowidze na trybunach milczą, od czasu do czasu tylko rzucając ostrożne słóweczko, że . . . piłka jest okrągła i że nie wypada przed przeskoczeniem rowu wołać: "hop", Szkoci cmokają z uznaniem, ilekroć piłka dostaje się na prawą stronę polskiego ataku.

W kilka minut po uzyskaniu pierwszej bramki nowy wybuch entuzjazmu po skutecznym strzale prawego łącznika. Dochodzą także głosu i inne pobratymcze uczucia. Widząc ambitną grę drużyny czeskiej widownia zaczyna zagrzewać Czechów: "Praga goala". Ale altruizm widowni to jedna sprawa, a piłkarska ambicja polskiej pomocy i obrony druga, więc "Praga" nie tylko nie uzyskuje punktu, ale o mało nie traci dalszego. Piłka nawet "siedzi" w siatce po raz trzeci, ale sędzia szkocki nie uznaje bramki zdobytej z pozycji "spalonej". W dawnych, pokojowych czasach usłyszałby niewątpliwie sędzia po takiej decyzji zgodny chór propozycji: "kozy iskać" lub "kanarki doić", a już słówko: "kalosz" huczało by napewno, tym razem jednak widownia jest zdyscyplinowana i nie pada ani jedno słowo protestu.

Gwizdek końcowy zastaje napad polski w pobliżu bramki Czechosłowaków. Orkiestra intonuje pożegnalnego marsza, obie drużyny wznoszą okrzyk na cześć przeciwników, na trybunie entuzjazm i zadowolenie ogólne. Nawet filozof-federalista daje się porwać fali ogólnej i konkluduje: "federacja swojem porządkiem, ale to nic nie szkodzi, że my jem przygrzali, a nie oni nam. I to niezgorzej: dwa do kółka."

Ludwik Bojczuk

Przegląd polityczny

W roku, zdaje się 1931, kiedy Hitler udzielał bardzo chętnie wywiadów korespondentom prasy zagranicznej, na zapytanie przedstawiciela jednej z wielkich agencji amerykańskich o "tajemnicę sukcesu"—przyszły dyktator Niemiec tak sformułował swój pogląd na tę sprawę:

—*Jestem człowiekiem jednej karty.* Dnie całe, nieraz całe miesiące poświęcam badaniu danego problemu, wyczerpując wszystkie możliwe źródła, wszystkie informacje, wszystkie szczegóły. Decyzja nie przychodzi mi łatwo. Ale skoro ją raz powezmę—idę nieugięcie do celu, wbrew wszystkiemu, co może mi stanąć na drodze. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa tej metody, ale w chwili akcji nie pozwalam swemu otoczeniu o tym myśleć i sam o tym nie myślę. Powodzenie moje przypisuję dwu czynnikom: jestem psychologiem —i jestem człowiekiem jednej karty."

Ten hitlerowski autoportret jest trafnie ujęty. Führer ma wszelkie cechy ryzykanta, przygotowującego jednak bardzo dokładnie wszystkie szczegóły przedsięwzięcia, które może być albo triumfem —albo katastrofą. "*Połowiczna ostrożna decyzja w okresie bitwy nad Marną*—pisał w "Mein Kampf"—*była początkiem klęski Niemiec cesarskich*".

Gdy dawny malarz pokojowy stanął na czele Trzeciej Rzeszy, zaskoczył świat decyzjami, na których przeprowadzenie nie zdecydowałby się żaden z jego cesarskich poprzedników. Taką decyzją, opartą na przesłankach wyłącznie psychologicznych było zajęcie Nadrenii. To samo było w 1939 roku, kiedy decydował się całą siłą uderzyć na Polskę, zostawiając na zachodzie jedynie bardzo słabe siły. Jednym wielkim ryzykiem był przebieg pierwszych tygodni walk we Francji w maju 1940.

Wreszcie ostatnią już kartą, jest olbrzymia ofensywa, mająca na celu zniszczenie armii rosyjskiej przez zajęcie wszystkich centrów przemysłowych olbrzymiego kraju. Za tydzień, za dwa tygodnie rozpoczną się w centralnej Rosji pierwsze mrozy i spadnie pierwszy śnieg. Jeżeli Hitler w tym okresie nie zdoła zniszczyć armii rosyjskiej—za każdy następny dzień kampanii będzie płacił bardzo drogo. U progu zimy ryzykuje ogromną ofensywę, uderzenie w samo serce.

Wspominaliśmy, niedawno, że powtarzają się ramy historii. Ale sama historia nie powtarza się. I dlatego, mimo dużych podobieństw, nie można jednak opierać przewidywania biegu wypadków na wspomnieniach historycznych z 1812 roku. W okresie marszu Cesarza na Moskwę o zwycięstwie decydował geniusz Napoleona, ale siły, jeżeli się weźmie pod uwagę klimat i teren Rosji—były mniej więcej równe. Armie Aleksandra I mogły cofać się i oddawać ogromne obszary kraju, mając szanse zwycięstwa. Walka toczyła się bardzo często na białą broń, ogromną rolę odgrywały szarże kawalerii, wyekwipowanie techniczne państw walczących nie przedstawiało dużych różnic. Inaczej jest dzisiaj. Przeciwko czołgom i dywizjom zmotoryzowanym trudno występować piechocie i chociażby najbardziej bohaterskiej kawalerii. Wie o tym Hitler i dlatego prze na Moskwę, Leningrad, Don i Kaukaz. Nazwy te, tłumaczone na język wojenny, oznaczają *przemysł, węgiel i naftę.* Owładnąwszy tymi centrami—może na bardzo długi czas unieszkodliwić armię Stalina, więcej, może ją zniszczyć.

Ryzyko jest olbrzymie. Jeżeli bowiem armie niemieckie celu swego nie osiągną, jeżeli same wyniszczą swój sprzęt motorowy *—to momentalnie odwraca się karta i o klęsce mogą decydować, jak przed stu trzydziestu laty—piki kozackie.* Hitler, człowiek jednej karty *rzuca jako stawkę, los Niemiec.* I mimo olbrzymich strat prze na przód.

Pobicie armii rosyjskiej przez odcięcie nafty, węgla i amunicji—pozwoliłoby Niemcom na zrezygnowanie nawet z dalszego marszu na Ural. Sztab niemiecki zastosowałby natychmiast dalszy plan kampanii,*polegający na ataku basenu Morza Śródziemnego od strony Persji i Turcji na wschodzie, i od strony Hiszpanii i Portugalii na zachodzie.* Albowiem wojna w Rosji, podobnie jak dla Napoleona, jest i dla Hitlera odmienną fazą wojny z W. Brytanią, *wojny z rasą anglosaską.*

Ma się wrażenie, że sukcesy pod Wiazmą i Orłem przechylają szalę decyzji japońskiej. Hitler wie, że wojny z Stanami Zjednoczonymi uniknąć nie zdoła. Woli ją przyśpieszyć, wygrywając atut japoński. Konflikt japońsko-amerykański wszedł znowu w okres kryzysowy. Stosunki handlowe między dwoma państwami zostały faktycznie zerwane, możliwe, że jesteśmy w przededniu zerwania stosunków dyplomatycznych. *Atak na Polskę, przez likwidację naszej ambasady w Tokio—jest wyraźną zapowiedzią ataku na W. Brytanię i Stany Zjednoczone.*

W Stanach Zjednoczonych ma się poddać zasadniczej rewizji ustawę o neutralności. Jeżeli wypadki pójdą w tym tempie, jak dotychczas—historia może oszczędzić Senatowi niepotrzebnej dyskusji. Wojna puka już do drzwi domów amerykańskich, a w krótkim czasie może zacząć walić w nie pięściami. Zdaje sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa Roosevelt, ale świadomość tej prawdy przenika do umysłów amerykańskich dziwnie powoli. W wojnie tej chodzi o utrzymanie światowej roli rasy anglosaskiej, związanej ze wszystkimi sprawami globu. Jest już po trzech na dwunastą. Niedocenianie znaczenia tej godziny może się bardzo pomścić.

Sytuacja, jaka się wytworzyła w ostatnich dniach, jest bezwątpienia niezwykle poważna i to nie tylko dla Rosji. Długi okres ciszy w powietrzu brytyjskim nie oznacza bynajmniej, że niebezpieczeństwo minęło. Przeciwnie, każdy sukces Hitlera w Rosji—*powiększa groźbę ataku na Bliski Wschód, Indie, Afrykę, Wyspy Sundajskie—i w ogóle na całe Imperium Brytyjskie.*

Na Rosji mszczą się dzisiaj w straszny sposób jej dawne błędy, a przede wszystkim niedocenienie roli Europy Środkowej w ogóle, a Polski w szczególności. Dla Rosji Polska powinna być tym, czym dla Anglii Holandia, czym dla Francji Belgia! O naszą niepodległość powinni byli dbać władcy Moskwy, wszystko jedno jacy, tak, jak o bezpieczeństwo własnego państwa!

Oby, tak niezwykle bolesna lekcja historii nie poszła na marne, oby zrozumiano wreszcie w Rosji tę prawdę, *że silna Polska jest potrzebna nie tylko Zachodowi, ale i wschodowi Europy, że pomijanie prawd historycznych i geopolitycznych musi doprowadzać, wcześniej czy później, nieprzyjacielskie dywizje pod same bramy Leningradu, Moskwy i Charkowa, tak, jak naturalnym następstwem upadku Warszawy—musiał być upadek Paryża i bomby niemieckie w centrum Londynu.*

Od wypadków we wschodniej Europie, zależy w bardzo poważnej mierze przebieg wydarzeń zarówno we Włoszech, jak i we Francji i Hiszpanii. Zatrzymanie Niemiec i ustalenie jakiegoś frontu zimowego—może spowodować wytworzenie się nowych frontów na Zachodzie. Hitler zdaje sobie sprawę, że jeżeli musiałby czekać do wiosny na rozgromienie Rosji —to nawet w razie zwycięstwa na wschodzie w roku 1942, *wojny na zachodzie już nie wygra.*

I tu mamy jeszcze jedną przyczynę tak niesłychanie intensywnego ataku na całym, olbrzymim froncie rosyjskim. "Była to moja najcięższa decyzja"—mówił niedawno Führer, komentując marsz na Moskwę. Ważą się w tej chwili losy wojny, ale przede wszystkim ważą się losy Niemiec.

tk

Skrzynka pocztowa

Kochany Panie Redaktorze.

W odpowiedzi na list p. porucznika W.P. ogłoszony w "Skrzynce pocztowej" w nr. 38 komunikuję, że już przeszło rok wysyłamy 20—30 funtów miesięcznie do Czerwonego Krzyża na przesyłki dla jeńców. Składki wpłacają wszyscy oficerowie i szeregowi. Uchwaliliśmy to samorzutnie w dniu powstania Dyonu. Pozatem wysyłamy paczki odzieżowe dla naszych kolegów, którzy dostali się do niewoli podczas lotów bojowych z Anglii. Jest to zwykłe koleżeństwo.

Jeżeli w takich drobnostkach będziemy czekali na rozkazy Naczelnego Wodza, to wiele dziedzin naszego życia będzie leżało odłogiem, a projekty pozostaną na papierze.

R. Kułakowski (Dyon 300)

* * *

Z całego serca gratuluję 18-tego numeru, "amerykańskiego." Uczynił wielkie wrażenie i bardzo na czasie, bo w samą porę werbunku ochotników również i na południowym kontynencie, który odbywa się w Argentynie z dużym sukcesem. Żeby jeszcze coś przez radio z Londynu na ten temat dla Ameryki Południowej!

Wyrazy szczerego szacunku

Władysław Wójcik

Tereza Cristina—Parana (Brasil)

* * *

Toronto Ont. Canada.

Zgłaszam się pisać listy do polskich lotników. Czytałam w gazecie, że lotnicy życzą sobie, ażeby tu z Kanady panienki pisały im listy—więc z wielką przyjemnością, byle bym tylko dostała informacje. Więc proszę. Co do mnie to mogę powiedzieć, że jestem Polka i nawet w Polsce rodzona tylko przyjechałam bardzo młodo i mało pamiętam o Polsce. Liczę lat 18. Podaję adres:

Stanisława Kuśnierz, 146, Cramford St., Toronto Ont., Canada.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej."

W załączeniu przesyłam Postal Order na 3 sh.—jako opłatę za abonament "Polski Walczącej." Egzemplarze otrzymuję regularnie, za co uprzejmie dziękuję. Pozwolę sobie zaznaczyć, że "Polska Walcząca" jest jedynym polskim pismem w Wielkiej Bytanii, które można wysyłać naszym Rodakom do Stanów Zjednoczonych A.P.!

Proszę przyjąć moje serdeczne i szczere życzenia w dalszej, tak owocnej i pięknej pracy.

Witold Jewanicki

Konnej jazdy klasa wielka, Czarnobrygadzisty Felka

opowiedział i rysował Józef Stojek



Idzie Felek z Joan,
Patrzy—koń się pasie;
Więc jej mówi: Sory,
Toć przejechać trza się.

Nim się połapała
O czym Felek bredzi,
Śmignął i za chwilę
Już na szkapie siedzi.

Koń wystrzela świecę—
Nasssypali piachu!
Feluś w siódmym niebie,
Joan drży ze strachu.

To znów dla odmiany
Szkapa na łbie staje,
Ale chłopak morus
I tak się nie daje!

Wreszcie Felek skończył
Popis konnej jazdy
Tak, jak to raz widział
U cyrkowej gwiazdy.

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBey 6694.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.